

**ELIZA
ORZESZKOWA**

AUSTRALCZYK

Eliza Orzeszkowa

Australczyk

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Australczyk / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Młody karierowicz Roman Darnowski zręcznie radzi sobie na salonach. Na razie jednak znajomości nie przyniosły mu ani pieniędzy, ani władzy. To się ma jednak zmienić. „Przyjaciółka” Darnowskiego, czterdziestoletnia baronowa, załatwia mu niezwykle intratną posadę. Problem w tym, że objęcie posady oznacza także przeprowadzkę na półtora tysiąca wiorst w głąb rosyjskiego imperium i porzucenie Polski. Darnowski zaczyna się wahać... Psychologiczna powieść, której tematem są dylematy i problemy polskiej inteligencji w czasach zaborów — granice współpracy z władzami carskimi, siła więzi z krajem rodzinnym, hierarchie wartości, uczucia. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wycucie problemów społecznych — w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Содержание

Wstęp	5
I	26
Конец ознакомительного фрагмента.	30

Eliza Orzeszkowa

Australczyk

Wstęp

„Błogostawieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie”.
(Ewang. u św. Mat. 5.–3–10)

Roman Darnowski, młody urzędnik, należał do kategorii ludzi, którym powodzi się wybornie, a którzy jednak nie czują się zadowolonymi. Natura obdarzyła go dość hojnie; okoliczności, w porze dzieciństwa niepomysłne, potem sprzyjały mu stale. Fenomenem nie był w kierunku żadnym, ale posiadał zdolności umysłowe, które pozwoliły mu świetnie ukończyć wyższe naukowe studia, i powierzchowność ujmującą, której przeważnie zawdzięczał duże powodzenie towarzyskie. Przed dziesięciu laty przybył do ogromnego miasta i od razu znalazł w tym lesie drzewo takie, które go od wichrów, słońca i zblakania się osłoniło. Był niem dom krewnej, która niegdyś, jako skromna i prawie uboga panienka, nosiła to samo, co on, nazwisko, a od lat już kilkunastu była bogatą, z szerokimi kołami towarzyskimi zestosunkowaną, panią baronową Lamoni. Wypadek był dość rzadkim. Dziewczyna piękna i zalotna, z małego dworku szlacheckiego, została żoną człowieka bogatego, zajmującego na szerokim świecie stanowisko wysokie, i przedzierzgnęła się na damę światową, prowadzącą w wielkim mieście dom otwarty, wesoły, napełniony zbytkiem natury wszelkiej. Stało się to już dawno. Roman wcale jej nie znał, gdy po raz pierwszy złożył jej wizytę z listem polecającym od Domuntów, sąsiadów jego stryja, których baronowa była krewną daleko bliższą, niż Darnowskich. Kobieta już niemłoda, ale jeszcze piękna i więcej niż kiedykolwiek zalotna, sprawiła na nim wrażenie istoty zaciekawiającej, bo należącej do gatunku całkowicie mu dotąd nieznanego. Otoczenie, w którym żyła, wydało mu się wprost czarodziejstwem. Dziecko skromnych dworów wiejskich nie mogło przez czas długi napatrzeć się, nasłuchać, oprzytomnieć w tem państwie zbytku i wykwintu, którego królowa okazała się dla niego bardzo łaskawą. O tak rozkosznym wstąpieniu w świat nieznanego ani marzył. Dotąd znał tylko dom ojcowski, w którym żył do lat dwunastu i o którym wspomnienia odpędzał z całej siły, ilekroć opanować go próbowały; dom stryja, wcale już inny, lecz tak jak tamten wiejski, a daleko skromniejszy i cichszy, kilka dworów sąsiedzkich i miasteczko, w którym uczęszczał do szkół, trochę brudne i bardzo ubogie. Kobięcym zaś ideałem jego od lat paru była kuzynka Irena, dziewczę o trzy lata od niego młodsze, z twarzą bladawą, oczyma szaremi i grubą, czarną kosą, rzuconą na stanik perkalowej sukienki. W każde święta i wakacje znajdował ją w domu stryja i albo tańczył z nią polkę i walca przy muzyce stryjenki, albo bardzo poważnie rozprawiał o zadaniach i powinnościach życia męskiego, kobiecego lub wogóle ludzkiego. Bo w czasie owym, to jest w ostatnich paru latach nauki szkolnej, był rezonerem wymownym i zapalczywym, a raczej należał do gromadki takich rezonerów, szczerze i gorąco przenikniętych przedmiotami swego rezonerstwa. Krytykowali wszystko, co wydawało się im złem lub marnem, wznosili ołtarze dla tego, co budziło w nich cześć lub miłość; w marzeniach i długich wywodach przekształcali, popychali, doskonalili, słowem, poruszali z posad ziemię. Ilekroć, w czasie świąt i wakacyj, znaleźli się razem na wsi, Irena należała do ich kółka marzycielskiego i szumnego; mówiła daleko mniej, niż oni, nie rezonowała, ani dysputowała tylko słuchała, słuchała z takim skupieniem niekiedy, z takim blaskiem w szarych oczach, jakby wszystkie ich opowiadania, argumenty, uniesienia, postanowienia, wchodząc w jej duszę, czyniły ją zamyśloną i ognistą. Często, nie rozumiejąc tego lub owego, po skończonej rozmowie, zbliżała się do Romana i prosiła go o wyjaśnienia; nikogo więcej, tylko zawsze jego jednego o to prosiła. Widział w tem dowód sympatji z jednej strony, a z drugiej zaufania do jego

wyższości umysłowej. Nie mylił się zapewne i uszczęśliwiało go to ogromnie. Wyjaśniał, opowiadał, nauczał, potem prosił stryjenki, aby zagrała walca i kręcił się ze śliczną kuzynką po niedużej bawialni, aż do utraty oddechu i zawrotu głowy. Była też tam lipa stara i rozłożysta, pod którą czytali czasem poezje różne, a czasem, rzecz dość dziwną: Plutarcha, żywoty mężów wielkich. Książkę tę wyszperał w bibliotece domowej stryjeczny brat Romana, Stefan Darnowski, i puścił w obieg pośród kolegów jednomyślnych. Roman, w czasie ostatnich wakacyj, czytał tę książkę z Irenką. Czytali ją naprzemian z poezjami. Ona, słuchając Plutarcha, opuszczała robotę na kolana i patrzyła to na lektora, to w przestrzeń, oczyma wprost gorejącymi. Przy poezjach znowu miewała łzy nietylko w oczach, ale czasem aż na policzkach bladawych i delikatnych, jak płatek kwiatu. Potem szli razem na długie przechadzki po polach i lesie, w czasie których biegali i dokazywali, jak małe dzieci. On kochał ją za zgrabną kibić, za szare oczy, za gruby warkocz na plecach, za głębokie zadumy przy Plutarchu, za łzy przy poezjach, za lekkie tańczenie walca, dziecinne dokazywanie na przechadzkach, za wszystko, słowem, co było nią, jej ciałem i duszą, a zdawało mu się, że kochał nawet szalenie i na zawsze.

Była to więc sielanka, może świeża i pełna wdzięku, może nawet niezupełnie pospolita, bo wchodził w nią pierwiastek marzeń niesamolubnych, trochę naiwnych, ale bardzo szczerych – zawsze jednak sielanka. Nie dziw też, że po przybyciu do wielkiego miasta na studia uniwersyteckie, wszystko, co zobaczył i czego doświadczył w domu i pod skrzydłem opiekuńczym swojej bogatej i świetnej krewnej, stało się dla niego czemś nakształt urzeczywistnionej bajki czarnoksiężkiej, wobec której sielanka coraz więcej bladła, płowieła, malała do rozmiarów fraszki, albo zabawki dziecinnej. Po niedługim czasie stanowczo powiedział sobie, że wszystko, co z nim działo się i stawało przedtem, było dzieciństwem; zaś życie naprawdę, mężkie, dojrzałe, realne, rozpoczęło się dla niego dopiero, odkąd tu przybył. Teraz dopiero poznawał świat rzeczywisty, jego zasoby, rozkosze, ścieżki, drogi; świat, w którym wcale nie było łatwo zająć miejsce wygodne, ale w którym jedynie żyć było warto. Teraz także zaczął rozumieć i usprawiedliwiać ojca swego, którego dotąd w najskrytszych głębinach serca i rozumu sądził surowo. Był to człowiek namiętny i rozrzutny, lubiący nadewszystko wesołość i użycie. Strwonił majątek w sposób, który nietylko przyprawił go o ubóstwo, lecz przyprawiłby o hańbę, gdyby brat z pomocą nie pospieszył. Ten brat przyniósł pomoc skuteczną honorowi jego, zagrożonemu przez złorzeczenia wierzycieli i jednemu dziecku ze wszelkich środków ogołoconemu. Roman pamiętał swoje dziecięce smutki i nawet rozpacz, pamiętał wiele rzeczy bolących, zawstydzających, i w tajemnicy swego serca i rozumu wydawał na ojca, na jego życie i postępowanie wyrok surowy. Teraz zaczął go rozumieć i usprawiedliwiać. Cóż? Chciał on użyć życia. Odkąd przekonał się, jak słodkim ono być może, mniej dziwił się żądzy wypijania jego słodczy, choćby haustami zbyt dużymi. Zrozumiał, że sztuka prawdziwa polegała na tem, żeby najprzód zdobyć napój, a potem pić w miarę, tak, aby mózdz pić zawsze. Przykładów takiego zdobywania i miarkowania miał przed oczyma mnóstwo. Naprawdę, nikt prawie nie czynił tu nic innego, jak tylko zdobywał i miarę użycia zastosowywać usiłowywał do miary zdobyczy. Złe lub dobre zastosowywanie sprowadzało skutki odpowiednie. Były to nieustanne lekcje pogładowe, które roztaczały się przed wzrokiem młodego studenta, w domu jego bogatej krewnej i w szerokim kole jej stosunków, do którego wprowadziła go ona z dobrocią macierzyńską, zaprawioną pierwiastkiem innej natury. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, był chłopakiem wysmukłym, zgrabnym, z ładnymi rysami twarzy ściągłej i świeżej, z jasnym wąsikiem nad wargą rumianą i gęstymi włosami nad czołem gładkiem, jak u dziecka. W oczach jego szafirowych i głębokich było zmieszanie marzycielstwa i ciekawości, nieśmiałości i energii. Pewna nawet niezgrabność, z jaką poruszał się w świecie nieznanym, sprawiała wrażenie świeżości, ponętne dla wzroku, przywykłego do kwiatów sztucznych. Jakkolwiek ostatnie były bardzo umiejętnie farbowanemi, to jednak róża naturalna, niezupełnie jeszcze z pęka rozwinięta, musiała być uciechą dla oczu i nawet niejaką ozdobą dla salonu. Przeszło czterdziestoletnia, resztkami piękności goniąca, światem, uciechami, wrażeniami przesycona i zarazem, rzecz dziwna! nigdy ich nie syta, Klara Lamoni odrazu zaciągnęła młodego krewnego w poczet swych dworaków i osypała go faworami, któremi

na czas jakiś upił się, jak narkotykiem. Wyrzeźwiał potem i oddał się nauce z zapałem, budzonym przez dwie przyczyny: miał zamiłowanie rzetelne do nauki, a zarazem świadomość jasną, że tylko ona zapewnić mogła młodzieńcowi ubogiemu prawa stałego obywatelstwa w tej sferze upodobań i przyzwyczajęń, którą coraz częściej zaczął nazywać swoją. Powoli, druga z tych przyczyn zacierała poczęła pierwszą, a raczej wchłaniać ją w siebie, aż złąły się z sobą tak zupełnie, iż po latach paru Roman musiałby zawahać się przed daniem odpowiedzi rzetelnej na zapytanie: dlaczego się uczy? Zawahałby się, bo pierwszym jego popędem byłoby zawołać, że kocha naukę, ale zarazem uczyłby wyraźnie, że nie jest to już prawdą, albo przynajmniej, że jest tylko częścią prawdy, coraz mniejszą. Niewątpliwie, wykłady uniwersyteckie, dzieła przez profesorów do czytania wskazywane, zajmowały go żywo, czasem namiętnie. Czasem czytywał, notował, uczył się przez całe szeregi dni i nocy nieustannie, zapalczywie, do zmęczenia się ostatecznego. Niewątpliwie, przestrzenie i głębie przez naukę odsłaniane, zaciekały go i pociągały. Jednak zarazem coraz częściej ogarniały go rozmyślenia; czy praktycznie postąpił, obierając sobie gałąź nauki tę, nie inną? Czy gdyby był obrał inną, nie doszedłby łatwiej i rychlej do celu, to jest do stanowiska niezależnego, obiecującego przyszłość coraz niezależniejszą i szerszą? Czasem zdawało mu się, że tak, czasem, że nie, i od tego, jaką odpowiedź na te pytania znajdował w rozważaniach własnych, lub w przykładach, przez otoczenie dostarczanych, zależał przez czas jakiś stopień jego zapału dla nauki. Jakkolwiekby, uczył się, pracował, przez co niekiedy na dość długie dni i tygodnie oddalał się od domu i świata opiekunki możnej i dobrotliwej. Jednak powracał do nich, zrazu dla względów przyzwoitości i wdzięczności, potem dlatego, że je lubił, na koniec dlatego, że już obejść się bez nich nie mógł. Jednak, zarazem, mógł obejść się bez wielu rzeczy, jeżeli posiadanie ich było przeciwnem pewnej kategorii jego uczuć lub wyobrażeń. Z natury rozrzutna, dla niego szczególnie hojna baronowa zamarzyła o przerobieniu jego skromnej izdebki studenckiej na apartamencik wygodny i wytworny. Nie przyjął i po raz pierwszy stoczywszy z opiekunką i przyjaciółką sprzeczkę dość ostrą, przez długie parę miesięcy do domu jej nie powracał. Powrócił jednak. W czasie tego dobrowolnego ostracyzmu, gnany uczuciami zawstydzenia, zgryzoty, tęsknoty, nagle w nim powstającymi, rzucił się był ku współtowarzyszom, całkowicie inaczej, niż on, żyjącym i czującym. Ale tu stała się rzecz dla niego samego niespodziewana: nie mógł już pogodzić się z ich ubóstwem, prostotą, niekiedy prostactwem, w które ubierali się umyślnie, z surowością ich zasad, z szerokością ich myśli i zamiarów. Oni nawzajem ani myśleli szczerzyć mu krytyk, żartów, przewisk, docinków. Po próbach dość długich zbliżenia się i życia, opuścił ich, z ziarnem goryczy i rozczarowania, po raz pierwszy może zapadł w serce, a o którym nie wiedział jeszcze, czy je uczuwał do nich, czy do siebie. Było jedno i drugie. Uczuwał żal do nich, ale zarazem i do samego siebie; lekcewał ich, ale trochę i siebie. O nich myślał: „gbury i pedanci”; o sobie: „wykierowałem się na gagatka i krótkowidza! „Nie zdając sobie z tego sprawy dokładnej, czuł, że zaczyna krótkowidzieć. W życiu umysłowym, jakim bądź co bądź musiał być życie studenta, nasuwały się co chwila przed myśl i wyobraźnię idee, teorje, zagadnienia. Szedł za nimi do kroków dziesięciu i stawał, wiedząc o tem, że można było iść do stu i więcej. Ale on stopniowo i nieznacznie, jeżeli nie nabierał wstrętu do dalekich zagłębiań się i dochodzeń, to przynajmniej chęć do nich tracił. Ale był nawet i wstręt niewyraźny. Ileż razy słyszał o nich: „to niepotrzebne!” albo: „to niebezpieczne!” albo nawet: „to nudne!”

Robiło to na nim wrażenie prawie nieświadome, jednak złobiące ślady w umyśle i w temperamentie. Z pewną tedy goryczą myśląc: „robię się gagatkiem i krótkowidzem”, powrócił do wspaniałego apartamentu, znajdującego się przy jednej z najpiękniejszych ulic miasta, co przyszło mu z łatwością tem większą, że do powrotu wzywany był wielokrotnie i uporczywie. Znowu, jak przedtem, ale z wprawą i zręcznością coraz większą chodził i tańczył po woskowanych posadzkach i puszystych kobiercach w salonach baronowej i jej znajomych, zarazem uczył się; uczył się tem usilniej, że gdy dokończenie studjów było blizkiem, zagadnienie przyszłości stawało się nagłaczem. Dotąd bez wielkiej troski żył i stawiał czoło potrzebom, wytworzonym przez życie w sferze wykwińskiej, bo w tej nawet sferze niewiele wymagano od młodzieńca, który studjów naukowych

jeszcze nie ukończył. Na wszystko to starczył dochód z małego kapitaliku, oddawna już odebranego od stryja i korzystnie umieszczonego u plutokraty, który był blizkim znajomym i częstym gościem baronowej. Ale teraz co będzie? co czynić? jakie starania przedsięwziąć? gdzie znaleźć albo umieścić początek życia nowego? Czy powrócić w strony rodzinne? Czy pozostać w ognisku, z którego mnóstwo dróg rozchodzi się we wszystkie strony?

Tu, baronowa i jej najbliżsi pospieszili ze stanowczym rozstrzygnięciem kwestji. Wracać w strony rodzinne! Zagrzebać się na prowincji, w jakimś kącie zapadłym i nudnym! Ale gdzież tam! Byłoby to dobrowolnym wyrzeczeniem się nadziei najpiękniejszych, czemś nakształt samobójstwa, wprost – szaleństwem! Szkoda młodości, zdolności, wszystkich przymiotów wrodzonych i nabytych! Jakież stanowisko zająć może w stronach owych młody kandydat nauk prawnych? Jakiegoś chyba obrońcy sądowego, poświęcającego siły, zdolności, naukę, sprawom chłopskim i mieszczańskim, ponoszącego męczeństwo codzienne i nadaremne od roju trosk lichych, od ciemnoty stosunków prowincjonalnych, od nudy, pustki, może od niedostatku! To niepodobna. Ktokolwiek posiada możność zdobycia lepszego losu, na taki przystawać nie powinien. Roman wart lepszego losu i posiadać go może. Dopomogą mu w tem przyjaciele jego, zwłaszcza baronowa, która już teraz, zaraz, wprawia się w ruch starań, próśb, zabiegów, mających na celu otrzymanie dla młodego krewnego posady, o ile podobna najkorzystniejszej i najwięcej na przyszłość obiecującej.

Roman prawie zupełnie podzielał zdanie przyjaciół swoich: istotnie, dla mizernego życia na prowincji żałował samego siebie. Mniemał, że wartość jego przenosiła zapłatę, jaką to życie dać mu może. Zresztą, mnóstwo węzłów zadzierzgnęło się już pomiędzy nim a otoczeniem, w którym spędził lat kilka.

Przywiązań nie miał tu żadnych, lecz wiele przyzwyczajień i mnóstwo upodobań jeszcze nienasyconych; przytem zatracił pojęcie o możliwości dla siebie innej formy życia, niż ta, którą poczytywał za bardzo wysoką, i której uznawał się godnym. Drogię torowały przed nim wróżki dobroczynne, których widocznie był ulubieńcem. Starania baronowej uwieńczył skutek najpomyślniejszy, o jakim tylko zamarzyć było podobna.

Od czasu tego pięć lat minęło w pomyślności stałej i zupełnej; Roman Darnowski przecież nie czuł się zadowolonym. Owszem, od zadowolenia dzieliła go przestrzeń daleko znaczniejsza, niż przed laty kilku, niż u pierwszego początku drogi, utorowanej mu przez dobre wróżki.

Wieczór zimowy kończył się już w naturze, ale w świecie rozpoczynał się za ledwie, gdy przed opuszczeniem kawalerskiego mieszkanka swego, po raz ostatni stanął przed zwierciadłem. W mieszkanku małym, ale wykwinnie urządzone, zwierciadło, oświetlone dwiema lampami, odbiło zgrabną postać młodzieńczą i twarz, której rysy ściągłe i prawidłowe ocieniała gęstwina włosów ciemnych, a oświecały duże, szafirowe oczy. Może zachmurzały raczej, niż oświecały, bo wyraz ich był trochę posepny. Na czole śniadawem leżała siateczka cieniutka, jakby z najcieńszych możliwie włosków upleciona. Były to pierwsze zarysy zmarszczek, na lat 29 nieco przedwczesnych. Usta, pod ciemnym wąsem zawsze ponsowe i kształtne, nie uśmiechały się wesoło. Wprawdzie nie kurczyły się z bólu, albo żałości, ale się też nie uśmiechały. Były trochę apatyczne, trochę kapryśnie skrzywione. We fraku i białym krawacie, leniwie wkładał na ręce białe rękawiczki.

Musi iść na wieczór do baronowej. Nie chce mu się, ale pójdzie. Dziś szczególnie, gdy doświadcza spleenu nieznośnego, który od pewnego czasu napada go coraz częściej, wolałby o wiele pozostać w domu i czytać tę zajmującą książkę, której białe karty świecą na biurku, pomiędzy fraszkami z brązu i malachitu. Tak rzadko teraz zdarza się mu natrafić na książkę prawdziwie zajmującą, a ta jest właśnie taką. Nowa teoria naukowa, nowe poglądy na istotę człowieka fizyczną i psychiczną. To zaciekawia i budzi nadzieję, już w nim omdlała, że może istnieć na świecie coś świeższego, głębszego i rozumniejszego nad to, co istnieje. Od dość dawna, wtedy tylko czuje spokój i zadowolenie zupełne, choć chwilowe, gdy w ciszy i samotności czyta, rozważa, myśli. Tylko, że im więcej myśli, tem więcej samo dno rzeczy wydaje mu się oddalonym i niedosięgiem. Zwykły to objaw w człowieku, który wiele uczył się, doświadczał i spostrzegał. Zwykły i smutny, bo płytkość

i krótkość wszechrzeczy ludzkich, gdy tylko jest poznana, sączy w serce smutek i zniechęcenie, które pod nawalem zajęć i wrażeń milkną często, lecz tylko dlatego, aby przy lada sposobności odezwać się z siłą wzmożoną. Mniejsza z tem zresztą! Wolałby jednak pozostać w domu i czytać tę książkę, niżeli iść na wieczór do baronowej, gdzie nie znajdzie najpewniej nic nowego, ani szczególnie przyjemnego. Wszystko i wszystkich tam zna jak swoje pięć palców, nawet lepiej, bo o anatomji palców ma dość słabe wyobrażenie, zaś tam, wszystko i wszystkich poznał do głębi. Jeżeli już zresztą wyjść z domu, i iść gdziekolwiek, to z większą ochotą poszedłby do tej sali, w której od dwóch miesięcy śpiewa ta szalona Irma. Płomień, wulkan nie kobieta, harfa ze strun, wprawionych w taniec szalony przez namiętności, nie znające pokoju, ni granic. Śliczna przytem. Filuterna, zgrabna, wabna, jak sto szatanów. Dobra zresztą dziewczyna. No, dobra – to zawiele dla tej bestyjki, ale przynajmniej szczerza. Wogóle, światek, do którego należy Irma, wydaje mu się lepszym i nawet przyjemniejszym od wielkiego świata, przez to, że jest szczerym. Tu przynajmniej wiadomo, co o kim trzymać, bo każdy przedstawia się jasno i otwarcie takim, jakim jest i tem, czem jest, przyczem wesołości nie tłumi i przyjemności nie tamuje żaden woal. Tam, za woalami, pchu! to samo, albo nic wcale oprócz nudy. Tylko woale piękne, lub świetne, i ten szczęśliwy, kto jest zamało byстрыm, albo nie dość przybliżonym, aby dostrzedz, co za niemi. Niedawno czytał traktat Carlyle'a o znaczeniu sukien moralnem i towarzyskiem. Z książką tą spędził parę wieczorów bardzo przyjemnych. Czytając ją, myślał i teraz myśli, że autor jej był wynalazcą bardzo dowcipnym.

Niewielu ludzi domyśla się, jak ogromną rolę odgrywa w ludzkości rzecz z pozoru tak pospolita, jak suknia. Trzeba tylko zrozumieć ten wyraz w całej jego ogromnej rozciągłości. Wszystko zależy od sukni. Baronowa Lamoni i Irma, szansonistka, tylko dlatego zajmują w świecie stanowiska zupełnie odmienne, że trafiały urodzenia i losu przyrodziły je w suknie odmienne. Same w sobie, niezależnie od swoich sukien, są zjawiskami jednej natury, tylko Irma jest zabawniejszą, bo szczerzą. Niegdyś, byłby oburzył się na porównanie takie, ale teraz, ba, ba! wie dobrze, jak wyglądają farbowane lisy. Gdybyż nie wiedział? Może wiele dałby za to, aby nie wiedzieć! ale wie i na to rady niema.

Usiadł na otomanie, stojącej w rogu malutkiego saloniku i, gryząc w zębach zgaste cygaro, myślał, że to jego mieszkanie, zupełnie jak ten świat, w którym życie mu upływa, pełne liczmanów, które udają dukaty. Na pierwsze spojrzenie wszystko tu barwne, puszyste, błyszczące, kosztowne, ale w rzeczywistości tandeta i tanizna, udające wykwint i kosztowność. Bardzo zręcznie zastosowanym tu został wynalazek świecących lichot. Pierwszą przyczyną powstania w świecie tego wynalazku, było połączenie środków bardzo miernych z wielkimi wymaganiami pewnych środowisk i upodobań. Gdzie szanowaniem i lubieniem może być tylko bogactwo, tam każdy przywdziewa suknię, utkaną choćby z jego pozorów.

On uczynił tak, jak w jego środowisku czynią wszyscy. Gdyby chciał być pod tym względem oryginalnym, musiałby z góry wyrzec się wszystkiego, co stanowi powodzenie. Przytem, brak estetyki w otoczeniu, choćby takiej, liczmanowej, byłby dla niego dotkliwym; lubi rzeczy piękne, a w ich braku, takie choćby, które zręcznie udają piękność. Prawdę mówiąc, na tych brązowych lichtarzach, przyciskach, ramach, które świecą jak złoto, tyle jest złota, że za jego cenę ostatni nawet biedak nie utrzymałby długo nędznego życia. Tkanina okrywająca otomanę na której siedzi, zdala podobna do puszystego pluszu, jest pajęczyną, której nietrwałość i szorstkość przykrywa trochę jedwabiu. Malachitowe cacka, przyozdabiające biurko, mają pełno szczerb i uszkodzeń, które, tylko dzięki zręczności ustawienia, są prawie niewidzialnymi. Piękne zwierciadła z konsolą i lampami porcelanowymi nabył wypadkiem... Ach, te wypadki, wyprzedaje, anonse dziennikarskie, którym zawdzięczał znaczną część elegancji, napełniającej to mieszkanie, zbrzydły mu do stopnia wstępu i ohydy! Bo w gruncie rzeczy jest to komedia, którą odgrywa przed ludźmi i przed samym sobą. Ale inaczej niepodobna. Wynagrodzenie, które za swoją pracę otrzymuje, jakkolwiek w stosunku do wieku i zasług jego bardzo znaczne, jest w porównaniu z jego potrzebami bardzo mizernem. Potrzeby te, z powodu środowiska, w którym żyje, i upodobań, które nabył, są tak wielkimi, że środki posiadane żadnym sposobem zadowolnić ich nie mogą w zupełności, jeżeli zaś w części zadawalniają,

to tylko dzięki staraniom, zabiegom, wypadkom, wyprzedacom – liczmanom, ukazywanym jako dukaty, słowem komedji nudnej i której się wstydzi. Cóż więc dziwnego, że od lat paru doświadcza niekiedy ataków zniechęcenia rozczarowania, smutków gryzących i posępnych. Z przyczyn ich nie zdawał sobie dotąd sprawy dokładnej, ale główna leży na wierzchu. Może jedyna. Bo czegoż więcej mu niedostaje? Gdyby posiadał większą swobodę i szerokość życia, których użyczyć mogą większe środki materialne, byłby znowu, jak dawniej, wesołym i z losu swego zupełnie zadowolonym. Pragnie także mieć większe upewnienie co do przyszłości. Od lat pięciu przebywa na jednym miejscu. To zadługo. Pomimo, że w pracy biurowej nie znajduje nic wcale ponętnego, że owszem, wydaje mu się ona suchą, nudną i prawie nic z siebie nie wydającą, usiłuje być urzędnikiem wzorowym, pochlebia sobie, że jest takim i wie, że za takiego poczytują go zwierzchnicy. Jednak ani o krok nie posunął się jeszcze naprzód. Trwa to zadługo i niepokoić go zaczyna. Może być bardzo, że jeszcze przez całe lata przyjdzie mu biedę klepać, bo trzeba to sobie powiedzieć bez ogródek, że takie życie, jakie teraz prowadzi, jest klepaniem biedy, odrobinę pozłoconej, jak te lichtarze powleczone warstewką pozłoty, jednak biedy. Teraz np. ta Irma działa na niego jak szampan i gdyby miał środki znaczniejsze... Ta sama historia, co w roku zeszyłem z Aurorą, woltyżerką cyrkową, którą mu odbił brzydal ospowaty i garbaty, ale milioner...

Nagle porwał się z otomany i parę razy przebiegł szybko salonik.

– Pfu! o czym ja myślę i nad czym biadam! Jeszcze trochę, a nabiorę do siebie obrzydzenia takiego, że chyba w łeb sobie palnę, aby przynajmniej z jednej poczwary świat oczyścić!

Istotnie uczuł do siebie obrzydzenie, zlągodzone wkrótce rozwąga, że jednak w trwodze i trosce o przyszłość nie chodziło mu naprawdę o Aurorę lub Irmę, ale o kawałek, o pewny kawałek chleba, i tyle przynajmniej suty, aby nie potrzebował liczyć się, jak sknera, z każdym przełkniętym kąskiem. Gdyby w karierze posunął się naprzód i posiadał egzystencję szerszą, swobodniejszą, pozbyłby się najpewniej smutków i nieukontentowań, które go teraz napadają, jak babskie spazmy. Ożeniłby się zapewne i życie wypełnione uczuciami rodzinnymi, ujęte w karby obowiązków, przyniosłoby mu sumę zadowolenia, zupełnie wystarczającą. Myśl o ożenieniu przychodziła mu do głowy nie po raz pierwszy. Uczuwał potrzebę przywiązania się do kogoś i posiadania obok siebie istoty miłej i przywiązanej. W samotności i w świecie bywało mu coraz częściej zimno i pusto. Mętnie wyrozumiewał, że chłód pochodził z serca, które, lubiąc mnóstwo rzeczy, nie kochało nic i nikogo. Niewiele zastanawiał się nad tem, lecz nierządno, choć przelotnie myślał, że musi przecież mieć kiedyś kogoś kochanego, kochającego, prawdziwie blizkiego, swego. Ale były dwie przeszkody. Najprzód, sprzeciwiały się temu stanowczo warunki materialne, dla niego jednego nawet niewystarczające. Następnie, w wyobraźni jego, kędyś u jej szczytu, jakby pod jej niebem, unosił się typ kobiety, który mógłby obudzić w nim tkliwość i ufność, których pokłady nienaruszone leżały na dnie jego serca, wzruszanego często, lecz płytko i nietrwale. Nie określał przed sobą tego typu w rysach jasnych i stałych; ale wiedział, że musiało to być coś dziewiczego i słodkiego, rozumnego i prawego, coś z licem, jakby wyśnionem niegdyś, bladawem, wrażliwym, z parą oczu dobrych, czasem gorejących, a czasem łzą oszklonych. Kobiety, któraby taki typ urzeczywistniała, nie było w otoczeniu jego. Raz tylko, niegdyś, przyśniła mu się i potem nigdy już takiej nie spotkał. Nic to: gdyby tylko polepszył się los jego, gdyby warunki życia stały się szerszemi, a przyszłość pewniejszą, rozejrzałby się po świecie, możeby znalazł taką i stał się szczęśliwym. Bo co teraz, to czuje się tak znudzonym, stęsknionym, a często i niespokojnym, jakby mu brakowało czegoś, co jest dla człowieka najważniejszym, najkonieczniejszym...

Z tem wszystkiem godzina już późna i do baronowej na wieczór jechać musi. Nie widział jej od paru miesięcy. Odbywała wycieczkę w strony rodzinne swoje i jego, gdzie miała do załatwienia jakąś sprawę majątkową: odbierała jakiś spadek, sprzedawała jakiś folwark, czy coś podobnego. Niewiele obchodziła go przyczyna, dla której puściła się w tę dość daleką podróż i nie dowiadywał się o niej bardzo. Odkąd wróciła, nie widział jej jeszcze. Był u niej parę razy, ale w domu nie zastał: oddawała wizyty powitalne, krzątała się około urządzania dzisiejszego wieczoru, wynagradzała sobie żalną

stratę czasu, poniesioną przez dwumiesięczną nieobecność w stolicy. Śmiech go brał na myśl o tem, co ta kobieta robić mogła na wsi przez całe dwa miesiące! Toż to musiały być desperacje i nudy śmiertelne! Wczoraj otrzymał od niej bilecik zapraszający z przypiskiem, który go zaciekawił. „Mam dla ciebie nowinę bardzo ważną i pomyślną; ale nie dowiesz się o niej gdzieindziej, jak tylko w moim małym saloniku, na kozetce, którą znasz, za parawanikiem chińskim, który lubisz. No, spodziewam się, że mi podziękujesz, bo nowina piękna. Już niedługo, a będziesz mógł mieć sam tyle parawaników chińskich, ile tylko dusza zażąda!” Przebiegłszy oczyma ten dopisek, zrazu machnął ręką i pomyślał: „pewno jakieś głupstwo!” Bo jej ważne nowiny zawsze były w tym rodzaju: „wiesz? urządzamy kulig o dziesięć wiorst za miasto, albo: w operze śpiewać będzie ten sławny Tromtadroni! albo: ta M., czy N. zakochała się w tobie, aż głowa jej się kręci!” A jego, te kuligi, Tromtadrony i kręcenie się głowy M. albo N. obchodziły najczęściej tyle, ile śniegi zeszłorocznej zimy. Jednak tym razem było chyba coś innego, bo cóż znaczy oznajmienie, że będzie mógł wkrótce posiadać tyle parawaników chińskich, ile tylko zażąda. Parsknął śmiechem. Ogromnie komicznem wydało mu się wyobrażenie o duszy, żądającej parawaników chińskich. Alboż to dusze żądają rzeczy w tym rodzaju? Zresztą, co prawda, są i takie, bardzo zabawne i może najszczęśliwsze.

Zadzwoił. Chłopakowi niedoroślemu, który wbiegł na odgłos dzwonka, rozkazał futro sobie podać i drzwi mieszkania na klucz zamknąć. Nie miał lokaja; pomimo pensji znacznej, nie był w stanie go opłacać. Usługiwał mu na zapotrzebowanie syn stróża tej kamienicy okazałej, ozdobnej, przy jednej z ulic głównych stojącej, w której znajdowało się jego mieszkanie, także okazałe, ozdobne, choć przez niego samego silnie krytykowane.

Na schodach baronowej szerokich, rzeźbiście oświetlonych, dywanami wystanych, zobaczył dwie kobiety, które, wyprzedzając go nieco, w białych okryciach wstępowały po stopniach schodów, powoli, równo, jakby po strudze światła płynęły w górę. Poznał je zaraz, poskoczył i prawie w mgnieniu oka obok nich się znalazł. Natychmiast też rozpoczęła się rozmowa żywa i wesoła, której słówka, uśmiechy, spojrzenia, nasuwały przypuszczenie „kręcenia się głowy”. I naprawdę, wysoka brunetka z rysami trochę ptasiemi i gwiazdą brylantową w czarnych jak noc włosach, była tą M., o której niedawno baronowa oznajmiała krewnemu nowinę wielką: „wiesz? M. kocha się w tobie, aż jej się głowa kręci!” Patrząc w tej chwili na Romana, można było zrozumieć to „kręcenie się” za sprawą jego głowy tej i innych. Smutki, tęsknoty, niepokoje, rozmyślenia, zamknął na klucz w mieszkaniu opuszczonem i nie był teraz niczem innym, jak ładnym, wytwornym chłopcem, uradowanym z miłego spotkania, rumianemi usty uśmiechającym się do czarnych oczu, które z upodobaniem patrzyły na niego z pod brylantowej gwiazdy. Było to zupełnie szczere. Bardzo widoczna sympatja kobiety powabnej i zajmującej w świecie stanowisko dość wysokie, sprawiała mu przyjemność podwójną. Lubił patrzeć w jej czarne, ogniste oczy i lubił, gdy widziano, że ona mu pozwala patrzeć w nie inaczej, niż wszystkim innym. Zrobiło się mu wesoło i przyjemnie. U samych drzwi baronowej właścicielka czarnych oczu i brylantowej gwiazdy, jakby nagle przypominając sobie o czemś, żywo przemówiła.

– Wie pan o nowinie?

Pomyślał, że stanowczo był to dla niego dzień nowin. Ona mówiła dalej:

– Od dni paru bawi w naszym mieście p. Marcelli Domunt, ten inżynier i aferzysta... Pewno dziś będzie u baronowej... Był wczoraj z wizytą u mnie... Bardzo przyjemny. Podobno Nabab zrobił się z niego...

Weszli do przedpokoju. Marcelli Domunt! Dawny znajomy i prawie kolega szkolny, choć znacznie od niego starszy. Pamięta go dobrze. Nabab! Czy tak się zubożył? Prawda! słyszał już coś o tem... Ciekawym będzie zobaczyć znowu tego człowieka, tak rozumnego i zręcznego, że w czasie względnie krótkim potrafił stać się Nababem!

Amfilada salonów gorzała od światła, mieniła się barwami ubrań kobiecych i męskich, wrzała gwarem głosów przyciszonych, ale licznych. Lokaje roznosili na tacach ogromnych herbatę, z mnóstwem dodatków, które nietylko smak, ale i wzrok nęcić mogły, takie to wszystko było

ładne, ładnie ułożone, przyozdobione srebrem, kryształami, karmelem, naśladowującym bursztyn. Na sprzętach najrozmaitszych: niższych, wyższych, ciężkich, leciuchnych, okrągłych, powyginanych, siedziały grupy kobiet i mężczyzn większe, mniejsze, podobne do klombów, rozsianych po przestrzeni, kąpiącej się w białym świetle gazowym. Jak słońce w kroplach rosy, stojącej na kwiatach, światło to zapalało mirjady połysków na jedwabiach, w złocie, w brylantach, w oczach. Obnażone ramiona kobiece przybierały w niem pozór marmurów śnieżnych lub blado-różowych. Długie suknie, jak wody o barwach bladawych, falowały po błyszczących kwadratach posadzki, albo po fantastycznych wzorach kobierców. Zwisające od sufitów snopy i gwiazdy płomyków przeglądały się w zwierciadłach, które ich odbicia przesyłały innym, mnożąc je tym sposobem w nieskończoność daleką i olśniewającą. U okien, osłoniętych draperjami ciężkich firanek, na wysokich łądogach strzelały śnieżne kielichy datury; nad gajem hjacyntów dziwne orchidee unosiły się nakształt roju pszczoł i motyli, passi-flory pełzały od okna do okna, rozkładając na amarantowych adamaszkach, błękitnych pluszach, swoje liljowo-czerwone gwiazdy. Jaskrawo-złote ramy prowadziły wzrok do pejzaży sielskich, górskich, morskich, do postaci idyllicznych i rycerskich, tu i owdzie ukazujących się na ścianach w świetle obfitem. W jednym z salonów widać było klomb zielonych roślin, przysłaniający białą statuetkę, dzieło sztuki, wyszłe z pod dłuta znakomitego. Nad stołami wznosiły się wazy sewrskie, japońskie, wspaniałe postumenty lamp z malachitu, z lapis-lazuli, ze starego brązu. W gwarze rozmów, przypominającym grzmot, nieustannie toczący się w oddaleniu wielkiem, słychać było rytmiczne szelesty zwijanych i rozwijanych wachlarzy, brzęki ostróg, dźwięki srebra, uderzającego zlekka o porcelanę, niekiedy śmiechy głośne, ale krótkie, podobne do rakiet wystrzeliwujących z szemrzącego płomienia ogni sztucznych. W ostatnim salonie, daleko zda się, daleko, za morzem światła, gwaru i kwiatów, ktoś grał na fortepianie.

U drzwi pierwszego z salonów witała przybywających gości jasna blondynka średniego wzrostu, trochę otyła, na pierwszy rzut oka bardzo piękna, w aksamitnej sukni i piórach strusich, zdobiących prawie popielate włosy. Towarzyszył jej mężczyzna bardzo niemłody, bardzo blady, bardzo łysy, mający minę Jowisza, mocno sfatygowanego swoją chwałą i potęgą. Kiedy Roman zginał się przed gospodynią domu w ukłonie tak głębokim i ceremonjalnym, że prawie dworskim, ona nieznacznie pogroziła mu palcem. Nie pytał, za co. Od tygodnia już była tu z powrotem, a nie widzieli się jeszcze z sobą. Przychodził dwa razy i w domu jej nie zastawał. Nic to. Powinien był przyjść razy dwadzieścia. Korzystając z chwilowej przerwy w nadchodzeniu gości, pochylił się nieco ku niej i ze znaczącym spojrzeniem zapytał:

– Nowina?

Zbliżka twarz jej przypominała porcelanową paterę z dwiema bladymi różyczkami na tle olśniewająco białym. Po tej martwocie rozplynęła się jednak uciecha promienna.

– Wyśmienita! – odpowiedziała zcicha. Ale widzisz przecie, że w tej chwili nie mogę... Potem, przy sposobności... Teraz idź sobie w świat, baw się dobrze i baw innych...

Odchodząc, myślał, że stanowczo zawiele bieli się i różuje. Czyni to oddawna, ale coraz niezręczniejszej. *Trop de zèle*. Nic dziwnego. Upiększenie przedtem lekkie i od niechcienia używane, stało się teraz środkiem ratunkowym, chwytanym całą garścią. Może też i naprawdę żałośnie wyglądałaby bez tej emalji. Rozmyślenia te przerwało mu spotkanie kilku kolegów i przyjaciół, którzy wciągnęli go do ożywionej rozmowy. Rzecz szła o cyfrę wynagrodzenia, którą otrzymać miał operzysta znakomity za kilka występów w teatrze miejscowym. Kolosalność jej budziła w tem gronie młodzieży podziw, zmieszany z odrobiną zawiści. Przyznawano powszechnie, że wielcy śpiewacy są teraz prawdziwymi panami świata i najszcześniejszymi z ludzi. Pieniądze i oklaski. Wielkie pieniądze i wieczne oklaski. Oni to rozwiązali kwestję bytu lub niebytu szczęśliwości ziemskiej! Roman wtrącił, że do tej szczęśliwości trzeba by jeszcze włączyć pierwiastek rozkoszy artystycznych, sprawianych przez sztukę; ale parę głosów odpowiedziało na to śmiechem. Sztuka! ależ ci panowie ani myślą być tak wzniosłymi. Jest to rzemiosło takie, jak każde inne, a tylko stokroć zyskowniejsze od innych.

Wszystko zresztą zamienia się teraz w rzemiosło, mniej lub więcej zyskowne. Rozkosze sztuki, nauki i różnych tam innych rzeczy podobnych, to archaizmy...

– I parawaniki! – wtrącił Roman.

I parawaniki, potwierdzono, za którymi odbywają się wściekle gonitwy do gór złotych. Niepodobna też, aby było inaczej, bo w społeczeństwach cywilizowanych wymagania od życia tak wzrosły, że zaspokoić je mogą naprawdę tylko góry złota. Sprawia to zresztą ludzkości korzyść oczywistą, bo potrzeby ogromne sprowadzają wysilenia ogromne, z których powstaje postęp na wszelkich polach... Tu rozmawiające kółko zwróciło uwagę na kilku świeżo przybywających gości. Ten niski, przygarbiony nieco człowieczek, to lekarz z ogromną sławą; już też podobno pół miliona z górą ulokował na zagranicznych bankach. Wiwat nauka! Ale pół miliona ze swoją górą i nauka bardzo intratna składają niskie ukłony przed kimś, kto podobno nie ma wielkiego majątku, lecz jest cały okryty oznakami wielkich dostojeństw. To znowu karjera niezwykła: szybka, świetna, poprostu fajerwerkowa. Nie przeszkadza to jej kłaniać się z kolei niewymownie grzecznie i słodko przed jednym z najwyższych dygnitarzy państwa plutokratycznego. Ten, to już poprostu jest jednym, ogromnym trzosem złota! Umie też żyć! Kto bywa w domu jego? Prawie wszyscy rozmawiający bywali tam, albo przynajmniej przedstawiali się, z nadzieją bywania. Co za zbytek szalony, ah! Ten salon Louis XIV kosztuje go podobno tyle, ile niejeden pałacyk wcale ładny. Teraz kazał sobie malować plafon do przedsionka, za który malarzowi ze sławą europejską zapłaci sumy bająnskie... I tak dalej, i tak dalej... Roman, wraz z innymi, przeglądał wchodzących, wymieniał nazwiska i cyfry, patrzył na ukłony, składane przez miliony tytułom, przez karjery majątkom, uśmiechał się, nawet śmiał się czasem, utrzymywał, że inaczej być nie może i że to bardzo dobrze, korzystnie dla postępu, oświaty, ogłady, dobrobytu, przemysłu. Oczy błyszczały mu coraz mocniej, rysy zaostrzały się i powlekały wyrazem zgryźliwości. Bo pomimo wesołego nieraz śmiechu i teoryj, wygłaszanych ze szczerością, w którą sam wierzył najmocniej, jakaś żmijka okręcała się mu dokoła serca i szczypała je zlekka, lecz dotkliwie. Zupełnie pomimo woli myślał, że jednak on bardzo już długo na jednym miejscu siedzi i bardzo wiele czasu traci, że mu ogromnie jeszcze, niezmiernie daleko do tych dóbr, do tych szczytów, do tych szczęśliwości, o których wszyscy dokoła mówią i które dokoła budzą zachwyt, zmieszany z żądzą i zawiścią.

Pomimo jednak żmijki, bawił się dobrze i bawił innych. W tych salonach pływał, jak ryba w wodzie. Gdyby zastanawiał się nad sobą, przyszedłby do przekonania, że nie jest jednym człowiekiem, ale dwoma ludźmi: tym, który przed godziną czuł się znużonym, rozczarowanym, głęboko smutnym, i tym, który teraz z rozkoszą uczuwa piękność, miękkość, wykwint otoczenia i doświadcza bardzo przyjemnych wrażeń, flirtując z czarnymi oczyma, zalotnie i ogniście spoglądającymi na niego z pod brylantowej gwiazdy. Bo w klombie sukien jedwabnych, fraków czarnych, obnażonych ramion i wachlarzy, podobnych do poruszających się ze szmerem skrzydeł olbrzymich motyli, panował flirt lekki, filuterny, dowcipny, przejęty u spodu dreszczami wrzuseń. Jedno ze skrzydeł motyli, utkane z gazy haftowanej złotem, poruszane ręką, migocącą wężami bransolet, rzucało na Romana krótkie powiewy chłodu i wzmoczonego zapachu perfum. Było to podobne do rytmicznie spływających mu na twarz pocałunków przelotnych i wonnych. Przytem wątek rozmowy, zadzierzgnięty już na schodach, snuł się nieustannie, złożony z fraszek powszednich, prawie bezmyślny, lecz przybierający od gry rysów i intonacji głosów znaczenie wcale odmienne od tego, które posiadały słowa. Było to coś podwójnego i zamaskowanego, jakaś gra w haczyki delikatne i zaostrome, które to przyciągały, to odpychały wyobraźnię, ciekawość i zmysły. Jednak właściciele czarnych oczu i brylantowej gwiazdy nie dostawało czegoś, coby tę grę uczynić mogło zupełnie zajmującą, bo nie przeszkadzała ona Romanowi czynić spostrzeżeń, że rysy jej twarzy były zbyt ostre i zbyt przypominały ptaka, z profilu widzianego, że dokoła ust jej z piękną linią i barwą tworzył się niekiedy wyraz kaprysu, a w oczach ognistych, za płomieniem, wznieconym przez namiętność i zalotność, panowała pustka absolutna. Wkrótce, korzystając z poruszenia, nadanego klombowi przez nadejście kilku osób nowych, a odejście innych, powstał i odszedł. Odchodząc, myślał, że stanowczo

nie jest to jego ulubiony typ kobiecy i że woli o wiele Irnę. Ta i tamta są zarówno ładnymi bestyjkami, ale tamta ładniejsza i zabawniejsza, tylko... tylko zbyt kosztowna! Dla niego zbyt kosztowna, bo w tem zebraniu znajdowało się mnóstwo takich, którzy bez najlżejszej trudności mogliby posiadać ten przedmiot wysokiego zbytku.

Do takich należał zapewne gość w tej chwili przybywający, spóźniony ale przez wiele osób witany z pośpiechem i uprzejmością, które przekraczały miarę zwyczajną. Był to mężczyzna wysoki i zbudowany silnie, z twarzą energicznie zarysowaną, z dużą rudawą brodą i połyskującym u piersi godłem, na którym srebrny młotek krzyżował się z taką kielnią. Roman od pierwszego rzutu oka poznał Marcelego Domunta, znanego od dzieciństwa, niewidzianego od lat wielu. Inżynier i przedsiębiorca, jeden z najzuchwalszych i najszcześniejszych argonautów współczesnych, dziś już prawie milioner, w przyszłości niezawodnie nabab. Dlatego zapewne otoczyło go od razu tak wiele osób, że Roman uczuł wstręt do przebijania tego tłumu. Niech tam! przywitają się z sobą potem. Zdaleka tymczasem patrzył na tryumfatora. Był wesołym i mównym, ale wydawał się roztargnionym. Wzrok jego nieustannie uciekał od otaczającej rzeczywistości i cofał się jakby do wnętrza mózgu, gdzie miał zapewne bardzo wiele do widzenia, sprawdzania, rachowania. Zresztą, blizki krewny pani domu znajdował się tu, jak u siebie, pewny siebie, swobodny, wcale nie wyniosły, ani dumny, lecz doskonale świadomy tego, że zrobił wiele, znaczy wiele i wolno mu wiele. Bardzo rychło porwało go grono mężczyzn, niesłychanie widokiem jego uradowanych i poprowadziło w głąb apartamentu ku stołom kartowym. Za nim, podobny do falistej ścieżki wodnej, którą na powierzchni rzeki tworzy strumyk, tylko co do niej wpadły, popłynęła struga uwag i wiadomości zcicha zamienianych. Szczęśliwy człowiek! Rozumny, biegły w czynnościach swoich, niesłychanie bystry, nadewszystko jednak szczęśliwy! Na jedną stratę otrzymuje dziesięć zysków, zawsze bardzo znacznych. Ostatnie przedsiębiorstwo udało mu się kolosalnie; zarobił na niem sumę ogromną. Wprawdzie, nie można nigdy wiedzieć napewno, jakim będzie koniec takich ludzi. Król, albo cygan! Ten przecież stanowi chyba wyjątek. Niesłychanie ryzykowny ale zarazem przebiegły i zapobiegliwy. Podobno jest tu teraz po to, aby nabyć w stolicy dwa ogromne domy, których już nigdy nie da na stawkę. Gdyby one tylko ostatecznie mu pozostały, jeszcze mógłby wcale nieźle figurować w świecie. Ale gdzież tam! On się jeszcze dobije nie wiedzieć czego. Nie ma skończonych lat czterdziestu, a gdzie już nie był, czego się nie podejmował i co mu się nie udawało! Tęga głowa i tęgi charakter! Takich teraz przedewszystkiem potrzeba światu. Jest człowiekiem prawdziwie współczesnym, ztąd to powodzenie szybkie i szalone. Kobiety ubolewały, że indywiduum tak zajmujące, inteligentne i zapewne przyjemne zasadzono do kartowego stołu. Ktoś dostarczył informacji, że Marcelli Domunt towarzystwa dam nie lubi, jest zwykle zanadto zmęczonym pracą, aby miał znowu męczyć się rozmową. Ożenił się już zresztą przed paru laty, a prosty flirt nie przedstawiałby dla niego żadnego interesu poważnego. Dowcipnisie utrzymują, że nawet z żoną spędza dwa dni na rok, przez resztę czasu znajdując się w podróży i miejscach bardzo oddalonych, w których prowadzi swoje roboty. Gra w karty daje mu wytchnienie i rozrywkę nie nużącą, ale i wśród niej objawia charakter sobie właściwy. Grywa niezmiernie śmiało i wysoko. W takim też tylko zebraniu, jak obecne, znaleźć się mogą odpowiedni dla niego partnerzy.

Roman słuchał tych wszystkich wiadomości i uwag z ciekawością bardzo żywą, bo przecież, niegdyś, znał dobrze ich bohatera, jakoteż jego miejsce rodzinne i rodzinę. Kędyś, ztąd bardzo daleko, na rozłogu pól płaskich, pod ciemnym pasem boru, stał dom nieduży, białym tynkiem powleczony, z gankiem, opartym na czterech białych słupach, z dużą szybą stawu w ogrodzie cieniście. Nazywało się to Kaniówką i było starem gniazdem rodzinnym, z którego wyleciał ten orzeł. Miejsce to Roman widział w tej chwili, jakby w oddaleniu ogromnym i jakby w mgle oddalenia i zapomnienia. Niegdyś przecież znał je dobrze. Domuntów było kilku. Ten najstarszy. Ciekawa rzecz, co stało się z innymi? Oto zkąd wyszedł, a dokąd zaszedł! Powiodło mu się. To dopiero powodzenie prawdziwe i duże. W porównaniu z niem, czemże jest los Romana?

Drożyną wążutką i biegnącą po monotonnej równinie. Lata jeszcze minąć mogą, bez wprowadzenia jej na wzgórze jakiegokolwiek, a o takich szczytach, jak ten – marzyć mu nawet

niepodobna! Stał we framudze okna, odosobniony, zamyślony i z przykrością uczuwający znowu żmijkę, która szczypała go w serce daleko dotkliwiej, niż przedtem.

Z zamyślenia obudziło go lekkie dotknięcie wachlarza. Baronowa wsunęła mu rękę pod ramię i szła z nim przez długi szereg salonów, spotykając po drodze ukłony głębokie, spojrzenia pokorne, słówka pochlebne i rozrzucając wzamian skinienia głową, uśmiechy, nieskończenie rozmaite ruchy wachlarza. W jednym z salonów sławny i modny artysta zasiadał do fortepianu. Gospodyni domu mogła dość swobodnie rozporządzać się czasem, przez który trwać miał koncert, skupiający dokoła siebie ciekawość i uwagę wszystkich obecnych, z wyjątkiem tych, którzy grali w karty. Była rozpromieniona i prawie rozswawolona od radości. Wieczór ten był jednym z najświetniejszych, jakie wydała kiedykolwiek. Może nigdy jeszcze nie zgromadziło się u niej tyle, ile dzisiaj, znakomitości, chwał, potęg różnego rodzaju. Kobiety najpiękniejsze i najmodniejsze; mężczyźni najbogatsi i najdostojniejsi. Bawiono się też wybornie; znudzenia w towarzystwie, niezręczności w przyjęciu – ani śladu. Trzeba mieć jej głowę, aby w tydzień po powrocie z podróży urządzić wielki wieczór tak znakomicie. To też wszyscy oddają sprawiedliwość jej genjuszowi w tym kierunku. Nasłuchiwała się mnóstwa komplementów najprzyjemniejszych w świecie. Trzeba też szczęścia, aby zdobyć do grania tego zachwycającego Brombirnknopfa! Bóg tylko i ona wiedzą, ile ją ta zdobycz kosztowała starań i pieniędzy. Kazał sobie zapłacić sumę bajeczną, ale za to nikt najpewniej mieć go nie będzie na swoich wieczorach, oprócz niej i może jeszcze paru osób takich, które zawsze wszystko mają. Nic też dziwnego, że takie tryumfy i powodzenia odmłodziły ją o lat kilkanaście. Formalnie jubilowała. Radość i tryumf świeciły w jej oczach i rozpiewały pierś obnażoną, falującą oddechem szerokim, głębokim. Mową szybką, prawie szczebiocącą, powierzając towarzyszkowi uczucia tej radości i tego tryumfu, weszła z nim do saloniku ustronnego, oświetlonego jedną tylko lampą, palącą się w klombie palm rozłożystych. Niedaleko klombu niski parawanik przegradzał dwa głębokie, w tył odgięte fotele, od grupy sprzętów innych. Śliczny parawanik chiński, ze smokiem złotym, oprawionym w bambusowe pałki.

– Dlaczego tu koniecznie? – z uśmiechem zapytał Roman.

– Taki już mój kaprys – odpowiedziała z filuternością dwudziestoletniej kobietki, ale spoważniała zaraz i gdy oboje usiedli na fotelach, natychmiast opowiedziała mu nowinę przyrzeczoną.

Roman, zaciekawiony, lecz niedowierzający, słuchał zrazu z lekceważeniem trochę przybranem, a trochę rzeczywistym; lecz po kilkunastu słowach baronowej bardzo spoważniał, a zaraz potem rozpromienił się prawie takąż radością, jaką ona promieniała. Istotnie, nie bez słusznej przyczyny wzywała go tak nagląco i prowadziła przez wszystkie salony za parawanik chiński. W parę dni po powrocie z podróży, miała zręczność długiej rozmowy z dygnitarzem wiadomym i – otrzymania od niego obietnicy uroczystej, którą gdy powtórzyła, smok złoty w bambusowych pałkach drgnął i zamigotał pod światłem lampy, padającym z za pierzastych liści palmowych. Była to obietnica, raczej przyrzeczenie stanowcze, oddania Romanowi pewnej posady, niespodziewanie wysokiej, świetnie opłacanej, otwierającej na przyszłość perspektywy dalekie. Nie był to krok, ale skok naprzód. Ona jedna była w stanie coś podobnego wyszperać i wyjednać, bo trzeba na to, oprócz stosunków, sprytu kobiecego i gorliwości prawdziwie przyjacielskiej. Są jednak w tym ulepie dwie krople gorzkawe: jedna ta, że posada wolną będzie zaledwie za miesiący kilka; druga ta, że znajduje się ztąd daleko. Półtora tysiąca wiorst, czy trochę nawet więcej. O te kilka miesięcy mniejsza i trzeba będzie tylko przez czas ten bronić się z całej siły, aby nie zapomniano nas i danej nam obietnicy. Gorzej z wyjazdem w strony tak odległe, który jego może trwożyć nieco, ją bardzo zasmuca. Istotnie, mówiąc o tem, posmutniała; że też to nigdy nic w życiu nie złoży się zupełnie dobrze, a w wypadku nawet najpomyślniejszym tkwić musi jakiś ćwiek bołący! Jednak, cóż robić! Nie jest egoistką i radzi mu, aby zdecydował się na przyjęcie tej zmiany położenia, razem z jej niedogodnościami. Niema zresztą w tem nic strasznego. Nie zamieszka w żadnym kącie zapadłym i dzikim, ale w mieście dużem, bogatym, ruchliwym i z wielu względów bardzo ciekawem. Ona tam kiedyś przepędziła parę tygodni u znajomych. Bazar wszechświatowy nie miasto. Można tam bawić się wybornie i w całym

znaczeniu żyć dobrze. Zachodzi tu na koniec ta jeszcze okoliczność szczęśliwa, że paru jej dawnych przyjaciół teraz właśnie zajmuje w tym mieście stanowiska dominujące. Roman przedstawi się im z listami od niej i tym sposobem zajmie od razu w tamtejszych kołach towarzyskich miejsce wygodne i przyjemne. Cóż? Nie potrzebuje nawet zapytywać, jak mu się podobała jej nowina, bo widzi to z wyrazu jego twarzy.

– Zadowolonym jesteś, prawda? ucieszonym nawet! Nie dziwię się, bo naprawdę masz z czego się cieszyć! Wolałabym jednak, aby wiadomość o tem, że musisz ztąd wyjechać, trochę cię zasmuciła. Dziesięć lat widywaliśmy się prawie co dnia – przyzwyczaiałam się do ciebie, jak do... do brata! Dziesięć lat... o, Boże! Jakże wszystko przemija! Ale nie jestem egoistką. Pracowałam dla ciebie wbrew interesowi własnemu. Podziękuj mi!

Serdecznie i z wdzięcznością rzetelną ucałował obie jej ręce. Istotnie oddała mu znowu przysługę ważną; znowu popchnęła naprzód wóz jego losu. Ją to podziękowanie, w połączeniu z myślą o jego wyjeździe, tak rozrzewniło, że oczy jej zwilgotniały.

– Zdenerwowaną jestem – szepnęła – miałam w tych dniach zgryzotę wielką, wprost nieszczęście...

– Jakie? – z pośpiechem zapytał Roman.

– Później ci to opowiem. Gdy wszyscy się rozjadą, zostaniesz u mnie na pół godziny. Przypuszczam, że długo trwać to nie będzie. Wieczera skończy się za godzin parę, a zaraz potem się rozjadą. Wtedy opowiem ci, co mię spotkało...

– Może Bruno zgrał się znowu w karty, albo M-me Marie spotkało cokolwiek złego?

Trochę żałośnie, trochę gniewnie skinęła ręką.

– Nie – rzekła – ty wiesz, że ja od swoich dzieci nie spodziewam się już niczego dobrego! Bruno jest zgubionym chłopcem i gdyby nie wzgląd na mnie, oddawna już wypędzonoby go z pułku, o Marji wiem mało, bo pisuje do mnie wtedy tylko, kiedy pieniędzy potrzebuje. Zgryzotę miałam z innego powodu wielką... potem ci powiem... Cóż to? Brombirnkopf grać przestał! Nie, znowu zaczyna! To dobrze; jeszcze kilka minut posiedzę tu i odpocznę... Takie przyjęcia nużą ogromnie... Ale co za przyjemność, kiedy udają się tak, jak dzisiaj. Dlaczegoż nie zapytujesz, jak bawiłam się przez te dwa miesiące?... Ach, mój drogi, trzeba moich stałowych nerwów, aby wytrzymać takie nudy! Ale interes załatwiłam, mnóstwo krewnych i dawnych znajomych widziałam... Byłam kilka razy i w Darnówce.

Roman żywym ruchem twarz ku niej obrócił.

– Cóż się tam dzieje?

– Nic szczególnego nie dzieje się w Darnówce; wszystko tam po dawnemu: stary dom, stare meble i stare zwyczaje. Oboje Darnowscy też postarzelali...

– Stryj... jakże tam? zdrów jeszcze?

– Pan Romuald? ależ naturalnie! Posiwał i wyłysiał, ale zdrów jak rydz, silny jak dąb, powiem ci otwarcie, trochę jakoś... sprościał, a może tylko tak mi się wydaje, bo odwykłam już od nich wszystkich i od ich manier... Żona jego, tak jak dawniej, chorowita i wiecznie utyskująca... Stefan wyrósł na pięknego chłopca, ale dzikus jakiś, bez żadnej elegancji, ani ambicji... Kiedy mówiłam mu, że daremnie siedzi jak grzyb na wsi, bo mógłby w świecie karierę zrobić i życia lepiej użyć, śmiał się tak, jak gdybym od rzeczy plotła. Oni tam zresztą wszyscy tacy. Ireń chciałam zabrać z sobą...

– Jaką Ireń?

– A tę wychowanicę twego stryja... przecież jest trochę i moją krewną...

– Więc ona jest w Darnówce?...

– Ani myśli być gdzieindziej...

– Nie wyszła za mąż?

– Cóż cię to tak bardzo zainteresowało? O, Boże! aż ci oczy błyszczeć zaczęły! Prawda! kochałaś się w niej podobno; szkoda było fadygi, mój kochany, bo to gęś... Ma to nawet pozór czegoś... czegoś lepszego, ale w gruncie jest niczem więcej, tylko gęsią. Byłam na nią bardzo obrażoną, bardzo... jakże? nie chciała jechać ze mną! ale potem machnęłam ręką i przy pożegnaniu

chciałam jej darować na pamiątkę bransoletę z brylantami... Wyobraź sobie, że nie przyjęła, za nic w świecie przyjąć nie chciała... Powiada, że jej takie rzeczy są niepotrzebne. Czy słyszałeś? Komu to na całym świecie brylanty mogą być niepotrzebne? No, czy nie gęś?...

– Czy pytano się tam o mnie? Czy stryj rozgniewany za to, że oddawna już nie pisuję? Jakże Stefan?...

Ale baronowa, zamiast odpowiadać na pytania, które tłumnie i zarazem nieśmiało jakoś cisnęły się mu na usta, za rękę go pochwyciła i wachlarzem wskazując drzwi przyległego salonu, zaszeptała:

– Wstał od kart! widzisz? stoi sam jeden... ze szklanką orszady... on zawsze na wieczorach orszadę pije... Teraz jest doskonała pora, abyś podszedł do niego i podziękował... Trzeba koniecznie, abyś dziś natychmiast mu podziękował...

Roman, jak ze snu obudzony, spojrział w kierunku wskazywanym. Przez drzwi otwarte i zasłaniające je do połowy draperje portjery, widać było część salonu, w którym kilkunastu mężczyzn siedziało przy stołach kartowych. Jeden z nich wstał przed chwilą i trochę odosobniony, drobnymi haustami połykał ochładzający napój. Na niego to baronowa wskazywała wachlarzem, szepcząc:

– Byłeś mu przecież przedstawionym u mnie zeszłej zimy... Pamięta cię, mówił mi, że pamięta... Trzeba koniecznie, abyś za obietnicę podziękował... On ma pamięć bajeczną! Teraz chwila bardzo sposobna... zaraz znowu usiądzie i grać zacznie... No, czemuż nie idziesz? O, Boże, idźże już! podziękuj! poleć się pamięci! postaraj się wpaść w oko... Idźże!

Roman siedział jeszcze przez chwilę, wahając się, czy namyślając. Wiedział, że baronowa miała słusność, że koniecznie trzeba było podziękować i polecić się pamięci, niemniej powoli podnosił się z miejsca.

– Idźże prędzej! – szeptała baronowa – bo siądziesz znowu do grania i stracisz sposobność...

Odszedł, ale powoli. „Wszystko tam po dawnemu, stary dom, stare meble, stare zwyczaje... Ciekawym, czy on gniewa się za to, że nie pisuję?”

Powoli idąc, spostrzegł u ściany saloniku przedmiot bardzo szczególny, którego dawniej tam nie było. Na marmurowym postumencie trumienka szklana... ależ tak, nie myli się... formalna trumienka ze szkła, a w niej coś szaro-czerwonego... Co za historia? Czy po główkach trupich zapanowała moda ubierania salonów trumienkami? Ale niema czasu myśleć o tem. Już wchodzi do salonu, w którym grają... „Nie przyjęła bransolety z brylantami; powiada, że jej takie rzeczy niepotrzebne! Dlaczego dotąd za mąż nie wyszła? Zeszpetniała pewnie. Może ospę”...

Już stanął przed nim i, składając ukłon bardzo głęboki, ośmiela się przypomnieć pamięci jego, że był mu zimy zeszłej przedstawionym. Odpowiedzi krótkiej, ale uprzejmej, słucha z rękami w dół opuszczonymi i głową pochyloną, poczem, kłaniając się jeszcze głębiej niż przedtem, pozwala sobie dziękować za obietnicę, otrzymaną za pośrednictwem pani baronowej Klary Lamoni. Znowu odpowiedź, nieco dłuższa, dla której wysłuchania skupia się cały prawie nabożnie, a po której wysłuchaniu składa ukłon trzeci, głębszy jeszcze od dwu poprzedzających, i rozzuchwała się do stopnia takiego, że osobę swoją i obietnicę, jej udzieloną, poleca pamięci... Teraz słyszy upewnienie, że cokolwiek przyrzeczonem zostało przez tego, z którym rozmawia, zapomnianem być nie może i, dziękując za to upewnienie, kłania się znowu, ale milczy, bo słucha jeszcze kilku słów bardzo pochlebnych o pani baronowej Lamoni, za które kłaniając się, spostrzega uśmiech życzliwy, odgaduje, że wpadł w oko, i kłania się, jednocześnie z otrzymywanym gestem ręki, bardzo miłym, za który kłania się po raz ostatni już i tylko plecami, znikającym za wysoką poręczą krzesła przy stole kartowym.

Wyprostował się z twarzą oblaną aż po brzegi włosów rumieńcem ognistym, na którego tle odbił się ciemny zarys zmarszczki pomiędzy ściągniętymi brwiami. Z tą zmarszczką i ze spuszczonej powiekami patrzył przez chwilę w ziemię tak pilnie, jakby z wytężeniem przypatrywał się czemuś, leżącemu na posadzce. Gdy podniósł wzrok, spotkał się z utkwionem w niego spojrzeniem Marcelego Domunta. Ze złożonymi kartami w jednym ręku, drugą kreśląc kredką cyfry na zielonem suknie,

wysoki, silny człowiek, z rudawą brodą i srebrnym godłem u piersi, patrzył na niego oczyma jasnymi, zimnymi, przyzwyczajonemi patrzeć daleko i widzieć dokładnie.

Spuścił wzrok na zielone sukno i zaraz znowu skierował go ku Romanowi. Te jasne, chłodne, rozkazujące oczy zdawały się dziwić temu, że czegoś rozpoznać nie mogą. Powtórzyło się to parę razy. Z czoła Romana zniknęła zmarszczka; z uśmiechem zbliżył się do powstającego od kartowego stołu i, wyciągając rękę, przemówił:

– Przypominasz mię sobie, Marceli, ale nie poznajesz...

Chwilę jeszcze Domunt patrzył na niego uważnie, w milczeniu, aż przemówił spokojnie:

– Roman Darnowski.

Chłodowi spojrzenia i spokojowi głosu sprzeciwiła się siła, z którą uściśnął mu rękę; czuć w niej było nieco wzruszenia. Partja, w której brał udział, była skończoną; usunęli się obaj we framugę wielkiego okna i przez kilka minut zamieniali szybkie zapytania i odpowiedzi. Na obie ich twarze wystąpił wyraz ożywienia niezwykłego.

– Jakże ci się powodzi?

– Bardzo dobrze! O twoje powodzenie nie pytam, bo wszyscy wiedzą, że...

– Tak, tak! bywałem na wozie i pod wozem; ale teraz stanowczo jestem na wozie... Widziałem, z kim rozmawiałeś przed chwilą... Winszuję... Musisz mieć piękne stosunki...

– Mam je istotnie; a ty podobno dobijasz do miliona...

– Co to znaczy! w świecie teraźniejszym, aby odznaczyć się, trzeba dobić przynajmniej do dziesięciu; czy mieszkasz tu stale?

– Tak; a ty gdzie?...

– Na całym świecie. Ożeniłeś się?

– Nie. Chudopachołek jeszcze ze mnie, a dla założenia rodziny wiele trzeba!

– Masz słusność. Idylle w książkach tylko ładne i to niebardzo! Co do mnie...

– Ożeniłeś się przed dwoma laty, słyszałem.

– A tak! I Bóg wie, po co to uczyniłem, bo żony swojej prawie nie znam. Zaraz po ślubie spadła na mnie konieczność podróży ogromnej. Powracam z głębin Azji...

– Na długo?

– Na miesiąc. Tu jestem od tygodnia dla interesów. Potem wpadnę do żony i dalej nad morze Czarne...

– Lubisz podróże!

– Gdzież tam! obrzydły mi, jak piekło potępionemu, ale muszę. Na to życie... Czy dawno byłeś w naszych stronach?

– Dziesięć lat tam nie byłem.

– A ja dwanaście. Chciałbym nieraz, ale czasu nie mam...

Dużą białą ręką przeciągnął po brodzie; zaśmiał się.

– To szczególnie! Odkąd rozmawiam z tobą, nietylko ciebie widzę, ale także Kaniówkę; mamę, siostry, sokory nad naszym stawem. Do mamy pisuję czasem i otrzymuję listy od niej, częściej od sióstr...

– A twoi bracia?

– Rozmaicie. Z dwoma widuję się niekiedy, w przelocie, i rad z nich jestem. Dobrze się sprawiają, karjery robią niezbyt świetne wprawdzie, ale na ich zdolności wcale niezłe. Jednego zresztą sam wywindowałem na jaką taką górę; ale z Kaziem... pamiętasz Kazia?

– Wyśmienicie... rówieśnik mój! Ty, Marceli, byłeś już dla mnie powagą, tamci dwaj – dziećciakami, z Kaziem żyliśmy za pan brat w domu i w szkole...

– Otóż to! Widzisz, jak to bywa! Taki zdolny, miły chłopak i źle z nim jest, ale to bardzo źle! Pośliznęła się mu noga! Awantura fatalna, powiadam ci, że fatalna...

– Gdzież jest teraz?

– W Kaniówce... Dziesięć lat był w Berlinie, a teraz jest w Kaniówce. Pewien tam dom bankowy krach zrobił i on z nim... Ale to się da naprawić... to się musi naprawić. Mama uwiadomiła mnie o wszystkim, pisałem, aby do mnie przyjeżdżał. Już ja to na siebie biorę... wszystko naprawię i wy kieruję go na człowieka...

– Uważam, że nie zerwałeś stosunków z rodziną!

– Pocóż miałbym je zrywać? Ale, co prawda, są one cieniutkie jak włoski. Kiedy się ludzie z sobą nie widują... Myślę czasem, że możebym już mamy nawet nie poznał! Bo co siostr, to najpewniej... jedna postarzała, druga wyrosła, trzecia podrosła bezemnie... Co robić? Na to życie! A ty tam masz jeszcze kogo?

– Rodziców nie mam oddawna, rodzeństwa nie miałem nigdy!

– Aha! więc z dawnym życiem **aus**! Tak najlepiej. Im mniej rozmaitych węzłów łączy człowieka z innymi ludźmi, tem on jest swobodniejszy i z tem szerszym rozmachem może żyć i pracować...

– Z taką zasadą ożeniłeś się?

– A, no! Czy ja wiem... Zasady – to jedno, a ułomność człowiecza – to drugie. Zakochałem się.

– Dużo wzięłeś?...

– Posagu? Ani szeląga. Guwernantką była, zkądciś tam, z naszych stron sprowadzoną... Biednusięńkie to było, smutne, dobre, ciche, milutkie... Tam, gdzie była, siedziałem przez całą zimę... dla interesów... Patrzyłem na nią, patrzyłem i raz, dwa, trzy, ożeniłem się. Ot i cała historja! A teraz, przez dwa lata, byłem z nią wszystkiego razem może ze sześć tygodni... Syna to jeszcze wcale nie znam...

– Syna już masz!

Zaśmiał się tak szeroko, że z za bujnego wąsa ukazał się szereg zębów zdrowych, silnych, białych, jak kość słoniowa.

– Mam! – odpowiedział.

I śmiejąc się jeszcze, mówił:

– To mój niepoznawalny... bo od roku już dążę do poznania go i dopiąć tego nie mogę. Teraz miałem już wprost tam pojechać, aż tu, traf! przynoszą mi jak na półmisku interes, bardzo świetny... dwa domy za bezcen i z wielką przyszłością!... Takiej afery opuścić niepodobna, to rzecz kapitalna... Znowu więc sentymenty na stronę! Co robić? Na to życie!

Gładził dłonią brodę, zamyslił się i machinalnie powtórzył parę razy:

– Życie... życie...

Wzrok jego już zaczynał cofać się w głąb mózgu, gdzie przewijało się mnóstwo myśli obcych temu, co go otaczało. Z roztargnieniem, które było połowiczną obecnością na miejscu, na którym stał i rozmawiał, a połowiczną w tych, gdzie wznosiły się domy, które kupował, mówił jeszcze:

– Tułacze życie... i niech djabli wezmą jakie kłopotliwe! Mam w głowie furę pomysłów, na plecach furę zajęć... Trzeba siebie tego w garści trzymać, aby nie oszaleć, na szczęście nerwy mam żelazne... Ogniska rodzinnego nie znam... już i zapomniałem jak wygląda spokojność, albo swoboda... Gdzie tam! ani jednego dnia swobodnego, takiego, któryby całkowicie do mnie należał! No, kiedyś się to przecie skończy...

– Kiedy? – zagadnął Roman.

– Czy ja wiem! jak postarzeję! Powrócę wtedy do Kaniówki... która już jest prawie zupełnie moją, bo dwóch braci spłaciłem... Ale to na starość... Spokojność, swobodę, gniazdo rodzinne, życie rodzinne, na koniec życia... *pour la bonne bouche*. Tymczasem, trzeba pracować, trzeba pracować...

– Aby do dziesięciu dobić? prawda?

Zaśmiał się.

– A no! zapewne, czemużby nie? jeżeli tylko można... Na tem świat teraz stoi...

– Spodziewam się, że mię odwiedzisz...

Zmieszał się, pomyślał trochę.

– Wątpię, chciałbym bardzo, ale wątpię. Nie wyobrazisz sobie nawet, ile mam do czynienia. Tydzień już tu bawię, a jeszcze nie zrobiłem połowy tego, co trzeba. Wizyt oddaję mnóstwo, ale takich tylko, które są potrzebne, rozumiesz? dla interesów. U baronowej bywam, bo krewna bliska i... baron jest mi potrzebnym...

– Wzgląd drugi ważniejszy zapewne od pierwszego – uśmiechnął się znowu Roman.
Domunt jakby obudził się ze snu.

– Ale nie! Proszę cię, nie bierzże mię znowu za takiego już materjalistę... Owszem, owszem, chciałbym nieraz bardzo, ale czasu nie mam... Do ciebie, na przykład, wpadłbym z rozkoszą, choć na chwilę... a gdybyśmy tak zeszli się na cały wieczór, we dwóch... o dawnych czasach, o Kaniówce, o różnych tam rzeczach naszych, pogawędzić... dobrzeby było, co? Może i ukradnę kiedy parę godzin! Ale nie, nie, nie będę mógł, z pewnością nie będę mógł... Czasu zabraknie... Żałuję bardzo, ale czasu mi zabraknie... Co robić? Na to życie!

– Co robić! – powtórzył Roman – któżby się spodziewał, że ty także, Marceli, wyraz ten powtarzać musisz...

Zadziwił się bardzo.

– A toż czemu, mój drogi! Więcej niż ktokolwiek, wierzaj mi, więcej niż ktokolwiek inny powtarzać go muszę! Niewolnikiem jestem... Do ciężkiej taczki zaprzężonym... Gdyby mi się udało choć jeden cały tydzień z żoną spędzić, mego niepoznawalnego poznać i uścisnąć – rad byłbym... potem znowu marsz... na drugi koniec świata.. Ahaswerus!

– Argonauta! – poprawił Roman.

Domunt głowę podniósł.

– A no tak, jeżeli chcesz, Argonauta!... Czyż kiedykolwiek ludzie robili co innego, oprócz pływania po runa złote? Wszystko do tego dąży, mój kochany, wszystko! Runa złote pod postaciami rozmaitemi! Ztąd królestwa, wojny, wielkie miasta, odkrycia, wynalazki...

– Miłość – z lekką ironją wtrącił Roman.

– Naturalnie, o tyle cenna, o ile rozkoszy dostarcza... Potęga, rozkosz – dwie osie świata... potrzeba jej światu coraz więcej, coraz więcej, coraz więcej... Dziś więcej, niż kiedykolwiek, i do tego przystosować się trzeba koniecznie, bo inaczej krach! Trudno czasem, ciężko, głowa pęka... ale trzeba... Na to życie!

W salonach zapanował ruch wielki. Powstawano z miejsc i łączono się w pary, które łańcuchem długim, krętym, szeleszczącym jedwabiami, szemrzącym rozmowami, skierowywał się ku ogromnej, naościęz otwartej sali jadalnej. Wkrótce Domunt i Roman, ze zwieszonymi u ich ramion istotami strojnymi i świetnymi, zajęli miejsca w tym łańcuchu, dość daleko od siebie, bo Domunt, już prawie miljoner, znajdował się bliżej początku, Darnowski, jeszcze skromny urzędnik, bliżej końca.

W parę godzin później wielki apartament baronowej był już pustym i prawie zupełnie ciemnym. Do saloniku z parawanikiem chińskim i lampą, palącą się pomiędzy palmami, lokaj wniósł na tacy dwie filiżanki mocnej herbaty i postawiwszy je na stole, odszedł, cicho stąpając po kobiercu.

– Może napijesz się herbaty, Romanie; po takim zmęczeniu, to orzeźwia... Czuję się bardzo zmęczoną. Jestem nadzwyczajnie rada z dzisiejszego wieczoru, udało mi się, jak może nigdy... ale czuję się bardzo zmęczoną... Czy widziałeś, jak przy wieczerzy podziwiano moje kosze poziomek i czeresni... w tej porze je mieć, to nie łatwo! Księżna powiedziała mi dziś, że nikt nie ma takich pięknych kwiatów, jak moje; szczególnie passi-flora wprawiła ją w zdumienie... Ale czuję się zmęczoną i wiesz co? teraz, gdy wszystko już minęło, udało się, dzięki Bogu, ucichło, znowu mi płakać chce się... Niema już mego biedaka! Mogę rozrywać się i bawić, jak mi się podoba, nie wskrzesi to go ani na chwilę! Biedny, kochany, dobry mój kakadu, nie wstanie no już nigdy, nie przemówi! Chodź, zobacz, popatrz trochę na tego nieboszczyzka mego!

Poprowadziła go do stojącej na marmurowym postumencie trumienki szklanej, w której, pod wieczkiem przezroczysem i w bronz oprawnem, na białych atlasach i koronkach leżała papuzka

nieżywa, z czerwonymi skrzydłami, z szarym czubem nad głową, z garbatym dziobem, żałośnie opadłym na pierś puszystą.

– Zabalsamowany – szepnęła baronowa. Kiedym wróciła, żył i był zdrów zupełnie; podskakiwał, podlatywał, gawędził ze mną nieustannie, jakby nie posiadał się z radości, że zobaczył mię po niewidzeniu długim. I tak było najpewniej, bo był ogromnie, szalenie przywiązany do mnie. Nazajutrz, nagle, nie wiedzieć od czego zachorował i w kilka godzin... w kilka godzin...

Nie mogła dłużej powstrzymać się, a przyłożywszy chustkę do oczu zwilżonych, zaraz szeptała dalej:

– Ty go nigdy bardzo nie lubiłeś i zblizka nie znałeś! Gdybyś wiedział, jakie to było miłe, rozumne, przywiązane stworzonko. Nadewszystko przywiązane! Biedny, dobry mój kakadu! Sześć lat go miałam, ileż godzin spędziliśmy we dwoje tylko, w tym samym pokoju. Bawił mię i... pocieszał! Gdy umarł, powiedziałam sobie zaraz, że pozostanie tu na zawsze, kazałam go zabalsamować, zrobić tę trumienkę i niech sobie śpi tutaj, pod mojem okiem, a w testamencie napiszę... muszę przecież kiedykolwiek napisać testament... aby go razem ze mną... ze mną...

Znowu łzy, cisnące się do oczu, mówę jej przerwały. Z chustką przy oczach, umilkła.

Roman spoglądał to na zwłoki papużki, nieruchomo spoczywające pod szklanem wieczkiem, na białym atłasie; to na kobietę trochę otyłą, w białej mantyli, zarzuconej na gors obnażony, z ogromnym trenem aksamitnym, który leżał za nią, na wzorach kobierca, z pękiem piórek strusich we włosach bardzo jasnych i szmatką batystu przy oczach. Śmiać mu się chciało i litość go brała. Z uśmiechem powściąganym, ale tonem pocieszającym, mówić zaczął:

– Ale jakże można! jak można tak bardzo martwić się z powodu tak błahego! Stworzonko było... przypuścimy... bardzo miłe... ależ czy podobna, aby strata jego przyprawiać mogła o taki smutek... o łzy...

Nie mógł dłużej mówić, bo czuł, że się roześmieje i że wobec kobiety płaczącej byłoby to nieprzyzwoitem, albo nawet i niedobrem. Ona jednak w dźwięku głosu dosłyszała śmiech tłumiony i odejmując chustkę od oczu, spojrzała na niego wzrokiem oschłym nagle i błyszczącym.

– Śmiejesz się! Masz mię za warjatkę! Nie rozumiesz, jak można tak pokochać papużkę, aby po niej gryźć się i płakać! Zapewne! Dobrze ci to mówić, kiedy jesteś sam szczęśliwy i masz jeszcze wszystko przed sobą! Ja, cóż? Co ja mam? jakie moje życie? Co mię czeka?

Szybko postąpiła kilka kroków, usiadła na jednym z ulubionych foteli, wzięła ze stołu filizankę herbaty, a drugą Romanowi podała:

– Usiądź przy mnie i napij się herbaty... Mam podniebienie spieczone i gardło wyschłe od gorąca i mówienia... Wcale niepotrzebnie dziwisz się, że ja tak bardzo żałuję mojego kakadu i gdybyś kiedykolwiek zastanowił się nad mojem życiem, zrozumiałbyś pewno, że to nie jest żaden idjotyzm... Ale któż, choćby i najlepszy, zastanowi się kiedy nad czyjsem życiem, zajrzy do czyjego serca? gdzie tam! Każdy dla siebie tylko żyje, już ja to wiem bardzo dobrze. I ty tak samo. Choć nieraz widziałeś i słyszałeś różne rzeczy, choć i sama ci o nich mówiłam, masz mię za kobietę szczęśliwą, prawda? Naturalnie, jestem bogatą, na stanowisku, mam wygody, zbytki, stosunki... czegóż więcej potrzeba? Otóż widzisz, potrzeba, potrzeba...

Porywczym ruchem postawiła na stole filizankę w połowie wypróżnioną i splatając na kolanach ręce drobne, pełne pierścieni, od ciasnych rękawiczek i gorąca zaczerwienione, mówiła prędko, prawie gorączkowo, że przecież Roman wie bardzo dobrze, jakim jest jej życie domowe, ile musi znosić i jak nie ma żadnej pociechy od męża, ani od dzieci. Baron zaniedbuje ją od niepamiętnych już czasów, a czyni to nietylko dla dyplomacji, którą wszyscy poczytują za jego jedyną pasję. Myli się każdy, kto myśli, że metresy barona są dla niej tajemnicą. Miał je, ma i mieć będzie, wie o tem dobrze i nie byłoby to dla niej udęczeniem żadnym, gdyby nie sprawiało upokorzenia. Upokarza to ją, ale i o to mniejsza! Z baronem od bardzo dawna zamieniają sześć słów na dzień i ani on, ani ona nie doświadczają do rozmów obszerniejszych ochoty najmniejszej. To bardzo dobrze... to nawet

daleko lepiej, niż gdyby ją, broń Boże, amatorami swemi, albo towarzystwem swoim prześladował. Ale trzeba czegoś wzamian? Nieprawdaż? trzeba koniecznie czegoś wzamian...

– Świat, zabawy, hołdy, znaczenie – spróbował wtrącić Roman, ale ona zamachała szmatką batystu, jakby od much się opędzała.

– Pewno, naturalnie, jakże inaczej! Bez tego to już chyba wprost do rzeki, albo paczkę zapalek w herbacie wypić! To tylko jeszcze daje możliwość życia, ale są chwile, godziny, dni, w których nie wystarcza. Dzieci! Aha! Miła pociecha! Znasz dobrze Brunona i Marję, cóż? pomijam charaktery... pasje i nałogi niepomiarowane Romana, interesowność i lekkomyślność Marji, ale czy oni mnie szanują? czy oni mnie kochają? Powiedz sam, Romanie, znasz ich, wiesz o wszystkim, powiedz sam, czy oni mnie choć trochę szanują i kochają? czy choć trochę...

Rączki silnie splecione, czerwone, pierścionkami połyskujące wyciągała przed siebie i oczy, które znowu łzami nabiegły, wlepiła w Romana z wyrazem zapytania naglącego. Spuścił powieki, milczał. Wobec oczywistości, jak dzień jasnej, kłamać nie śmiał. Tak, były to dzieci nie kochające i nie szanujące matki. Może tam zresztą kochały i szanowały cokolwiek na świecie, ale że nie matkę, to nie ulegało wątpliwości. Wiedział, że tak było i dlaczego tak było. Nie mógł przecież mówić jej tego; milczał.

– A widzisz, widzisz, nie zaprzeczasz, milczysz, wiesz dobrze, że jestem matką najniezwyklejszą i że z dzieci nie mam pociechy żadnej... Zresztą, prawie ich nie widuję. Marja z mężem w Paryżu, Bruno... ach, Bruno, nawet na moje wieczory przychodzić nie chce, bo mu weselej w klubie i przyjemiej z tą baletnicą, z którą popisuje się przed całym światem, nawet w obecności mojej. Cóż tedy pozostaje...

– Zawsze to samo – wtrącił Roman – pozycja, przyjemności towarzyskie, zadowolenia takie, jak, na przykład, z wieczoru dzisiejszego...

Nieruchomy wzrok wlepiając w kobierzec, głową wstrząsnęła.

Wyrazy tłumnie cisnęły się jej do ust, ale wahała się z ich wymówieniem. Skurczyła się jakoś, przygarbiła, w rękach mięła chusteczkę od łez wilgotną. Nakoniec wyszeptła:

– Dopóki się jest młodą, wszystko dobrze, za jedną boleść dziesięć pociech, za jedną łzę sto uśmiechów... ale ja... nie jestem... nie jestem... no trzeba to sobie raz powiedzieć, nie jestem już... pierwszej młodości.

Roman pomyślał, że wszystkie możliwe młodości już dla niej przeminęły; ale patrzył na nią uważnie. Było w niej coś, co go zaciekawiało i niepokoić zaczęło. Przepłynąwszy Rubikon wyznania, że „nie jest już pierwszej młodości”, zwierzała się dalej, a im dłużej mówiła, tem wyraźniej przed oczyma Romana zachodziła jakaś metamorfoza, stawał się jakiś tajemniczy akt życia, którego znaczenia jeszcze nie mógł zrozumieć dokładnie. Przyznawał w myśli, że uskarżała się nie bez słuszności. Mówiła nawet rzeczy, które jemu samemu nieraz już na myśl przychodziły.

Świat, zabawy, towarzystwo... ależ to tylko nałóg, jak każdy inny! Ludzie upijają się rzeczami rozmaitemi: winem, narkotykami, hołdami, to już zależy od gustu i możliwości. Ale wszystko jedno; po każdym upiciu się następuje wytrzeźwienie, a wtedy co? człowiek poznaje swoją nędzę. Bo czyż nie jest nędzą to konieczne przemijanie wszystkiego tego, cobyśmy chcieli rękoma i nogami przy sobie utrzymać? Młodość przemija, ludzie i uczucia przemijają... Tak to zdaje się niedawno, niedawno jeszcze przyjechała do stolicy z baronem Lamoni, młodzianka, tryumfująca, poprostu pijana swoim losem, niespodziewanie wielkim... jednak, od tego czasu, ileż zmian zaszło w niej i wokoło niej! Pierwsza jej młodość minęła... i prawie wszyscy ludzie, którzy ją wtedy otaczali, przeminęli. Gdzież są ci, którym od jednego jej spojrzenia „kręciły się” głowy, którzy gotowi byli skakać dla niej w ogień i w wodę, z którymi dni i godziny zlatywały jej, jakby na skrzydłach motyli? Poznawali, jak cienie. Albo niema już ich wcale na świecie, albo są daleko, albo przemienili się na ludzi zupełnie innych... niby żyją jeszcze, ale tylko z nazwiska, zaś z uczuć i nawet z wyglądu są zupełnie kim innym. Ma już za sobą cały szereg takich pogastych twarzy, i radości, które nie wrócą nigdy, a które w latach ostatnich coraz częściej przychodzą jej do pamięci. Dawniej nie myślała o tem, teraz myśli ze

zdziwieniem i przerażeniem. *Tout passe!* to straszne słowo! Wprawdzie napływają wciąż na miejsce dawnych nowe rzeczy, nowi ludzie, ale dla niej przynajmniej, przeminionych zastąpić nie mogą, może dlatego, że są inne, a może dlatego, że ona stała się inną. Dawniej świat ją porywał, teraz ona musi gonić za światem, pracować nad tem, aby nie zostać zupełnie usuniętą z pomiędzy tych, którzy jeszcze żyją, aby choć niekiedy pochwycić jeszcze kawałeczek życia i upić się nim choć na chwilę. To fatyguje bardzo i zostawia po sobie takie medytacje, jak te, które ją teraz ogarnęły. Ogarnęły ją one dziś więcej, niż kiedykolwiek, pod wpływem dwu wypadków: śmierci kakadu i blizkiego wyjazdu Romana. To stworzonko było dla niej prawdziwą pociechą, bo prawdziwie ją kochało. Człowiek potrzebuje widocznie tego, aby go ktokolwiek prawdziwie kochał. W żadnej porze życia niepodobna znajdować się ciągle w świecie i w towarzystwie, a jej teraz zaczyna być o to coraz trudniej. Są więc godziny, nawet dnie samotne. Wtedy trzeba mieć kogoś... Tym kimś był dla niej kakadu. A teraz go niema. Przeminał. Do Romana przywiązała, się jak do... do...

Tu znowu stanął przed nią Rubikon. Właściwie chciała powiedzieć: „jak do syna”, ale nie mogło to jej przejść przez usta. Bruno wprawdzie był daleko starszym od Romana, ale to co innego. Młodzieńcowi mniej więcej obcemu dać nazwę syna... Niepodobna! Więc przywiązała się do Romana, jak do... brata, przez dziesięć lat widywali się często... chociaż i on także zaniedbywał ją w czasach ostatnich; nic to, wiedziała, że jest blisko, że lada chwilę przyjsć może, mogła też zajmować się jego losem. A teraz on także wyjedzie i chociaż żyć nie przestanie, dla niej go już nie będzie na świecie. Przeminie. *Tout passe*. Ten nieboszczyk, który teraz w szklanej trumience spoczywa, rozrywał ją do tego stopnia, że, będąc z nim, zapominała nieraz o bólach, które jej sprawia ten obrzydły reumatyzm w nodze i w rękę. Nabyła go nie wiedzieć jak i kiedy, ale od lat paru dokucza jej coraz mocniej. Co ona teraz robić będzie, kiedy ją bóle te napadną, sama jedna?... Wyjeżdżać, ani przyjmować wtedy nie może; żadnej *demoiselle de compagnie* nie chce za nic w świecie, bo nie cierpi tych istot, najczęściej wyglądających, jak zmokłe kury, nudnych, zawistnych, podglądających i podsłuchujących. Chciała wziąć tę Irenę z Darnówki, ale ona nie zgodziła się na jej propozycję i dobrze się stało, bo jakąż korzyść miećby mogła z takiej, jak się pokazało, gęsi! Przyszła już do tego, że czasem, wstając, lęka się dnia, który przebyć trzeba... Tak jest biedną!

Umilkła. Roman przypatrywał się jej ciągle z ciekawością i uczuciem zaniepokojenia szczególnego. Metamorfoza, której przez czas zwierzeń czynionych ulegała stopniowo, teraz była już zupełną. Boże wielki! Co się z nią stało? Jakąż to istotę nieznaną ma on przed sobą? Stopniowo, w miarę jak mówiła i mówiąc płakała, zsuwała się z niej suknia, w której dotąd widywał ją zawsze. Zaledwie mógł wierzyć oczom własnym, świadczącym, że była to ta sama baronowa Lamoni, która przed godziną zaledwie, zwieszona na jego ramieniu, szła przez rzeźnię oświetlone salony i tłum pochylających się przed nią, uśmiechających się do niej gości, strojna, tryumfująca, jeszcze piękna, z piersią, falującą od uciechy i tryumfu. Teraz, w głębokim i niskim fotelu, na tle złotego smoka, wyciągniętego w bambusowych ramach, wydawała się skurczoną, przygnębioną, jakby zgniecioną w swojej białej mantyli, niezupełnie okrywającej nagość gorsu i ramion. Te nagości, przeglądające z pomiędzy atlasu i łabędziego puchu, wobec skurczenia się i przygnębienia postaci, miały w sobie coś szczególnie przykrego i rażącego. Batystowa szmatka, którą po wielekroć ocierała zwilżone powieki, uszkodziła w wielu miejscach białą emalję i wymalowane na niej róże; przez powstałe ztąd szczyrby wyglądała skóra żółta, tworząca pomiędzy resztkami emalji plamy, mające pozór chropowaty i brudny. W dole policzków i u podbródka utworzyło się kilka głębokich fałd i dołków, a brylant, spinający naszyjnik z wielkich pereł, migotał we wgłębieniu, które powstało na szyi. Powieki, od niespania i płaczu zaczerwienione i opuchłe, z trudnością podnosiły się nad oczyma przygasłymi, na których białka wstąpiły siatki czerwonych żyłek. Nad tą postacią biedną i twarzą okaleczoną, we włosach bardzo jasnych, kępka piórek czarnych rozluźniona, rozchwiana, przypominała zmokłe na deszczu i przez wiatr rozrzucone czubki ptasie. Skoczywszy¹ mówić, baronowa pochyliła głowę tak

¹ Skończywszy. [przypis redakcyjny]

nizko, że dwa piórka rozkołysane wysunęły się naprzód i zawisły nad samem jej czołem. Stała się w tej chwili bardzo podobną do kakadu, spoczywającego w szklanej trumience, z dziobem u piersi i rozczochraną nad nim kępą pierza.

Roman doświadczał uczuć litości i żalu. Jakkolwiekbądź, miał dla tej kobiety przywiązanie niejaki i bardzo szczerą wdzięczność. Więc z prawie synowską czułością ucałował jej ręce, wymawiając jakieś słowa pociechy, o których wiedział sam, że nie mają żadnego sensu, bo od kilku chwil już myślał, że pociechy prawdziwej i skutecznej niema dla tej nędzy. Jakto nędzy? Baronowa Klara Lamoni i nędza? Tak; i nad wszystkimi uczuciami, obudzonemi w nim przez jej widok, panowało to uczucie, że był świadkiem aktu życia, dokonanego przed jego oczyma; aktu życia, w którym, z za woalu, z za sukni, z za maski, ukazała się jego prawda! Jakaś prawda życia tajemnicza, niepokojąca, sroga, ukazała mu się z za znikłej damy światowej, bogatej, szczęśliwej, w postaci tej biednej, skurczonej, chorej, smutnej babiny.

Prawda życia? jaka? Byłaby nią powszechna nędza ludzka, wiecznie żyjąca, wszędzie zacząjona, skacząca ludziom na plecy nawet z za najładniejszych w świecie parawaników chińskich?

W kwadrans potem jechał do domu, przez ulice jeszcze ludne, ożywione, zalane potokami elektrycznego światła. Ta późna godzina nocna była porą opuszczania klubów, wielkich restauracyj, modnych zabaw publicznych i prywatnych. Środkiem ulicy mknęły i krzyżowały się z sobą roje sań mniejszych i większych; pomiędzy niemi ogromne i ciężkie karety toczyły się na kołach, skrzypiących po twardym śniegu. Gdzieniedzie chodniki roły się od przechodniów biegnących, spieszących; za szeregami okien oświetlonych widać było festony firanek i przemykające cienie tańczących par ludzkich. Tony muzyki, głuche i niewyraźne, z jakąś czasem jedną nutą głośną i przenikliwą, wpadały w hałas, sprawiany przez niezliczone, drobne dzwonki, przez brzęki uprząży, turkoty i skrzypy kół, szelesty stapań gromadnych i spiesznych. Nieskończone szeregi latarni gorzały światłami białymi i czerwonymi; wicher miotał wokoło nich mgłę drobnego szronu, porywanego z drzew i dachów, leciał ulicą, z gwizdem uderzał się o domy, biczami ostremi smagał twarze i na usta kładł słoność, przynoszoną z blizkiego morza.

Roman, z twarzą wtuloną w kołnierz futrzany, mknąc na małych sankach, które skrętami wężowemi przewijały się wśród mnóstwa innych, rozpoznając, jak we dnie, rysy mnóstwa krzyżujących się z nim twarzy, wzrok zatapiając w niedoścignionych galerjach światel, uchem wylawiając z gwaru ulicznego przeszywające go niekiedy nuty muzyczne, stuki hałaśliwe, wykrzyki ostre, myślał, że jest kropelką strumienia, który wartko i popędliwie toczy się w żyłach organizmu, zdjętego gorączką. W dzień i w nocy, bez przestanku i spoczynku, strumień ten kipi i toczy się – ku czemu? do jakiego portu? ku jakiemu ujściu? Przyszły mu na myśl słowa Domunta: „Runo złote pod postaciami rozmaitemi; ztąd królestwa, wojny, wielkie miasta, wynalazki i – miłość także, bo i ona daje rozkosz, a potęgą i rozkosz – to osie świata, których potrzeba światu coraz więcej, coraz więcej, coraz więcej?”

Smutno mu było; nie mógł pozbyć się obrazu biednego kakadu, który tylko co był wielką panią świetną i uwielbianą, a przed jego oczyma przemienił się na papużkę skurczoną i zbiedzoną, z brylantem, migocącym we wgłębieniu szyi starej, z czubkiem żałośnie zwieszonym nad maską popękaną i łzami zmoczoną. Czy to ku takim portom i ujściom toczy się ten strumień wartki i kipiący, którego on jest kroplą? Znowu głos Domunta zabrzmiał mu w uszach: „Co robić? Na to życie?”

– Na to życie! – powtórzył i myślał dalej: – Na to! na co? na co życie? Właściwie, na co życie?

Sanki skręciły w ulicę węższą, więc jeszcze rojnniejszą, hałaśliwszą, więcej zapchaną ludźmi i końmi. Roman pomimowoli podniósł wzrok w górę i długo już nie spuszczał go ku ziemi.

Nad ulicą rojną, dzwoniącą, turkocącą, grającą, nad domami wysokimi, w których gorzały rzędy oświetlonych okien, nad szeregami latarni i bijącą od nich ku górze łuną biało-różową, rozpościerało się w głębi nieskończonej niebo tak ciemne, że prawie czarne, ze stojącą na niem bardzo bladą twarzą księżycy.

Łuna, bijąca od latarni gazowych, czyniła bardzo bladym światło niebieskiego globu. Wyglądał on jak oko łagodnie i spokojnie spoglądające na ziemię z odległości niedoścignionej, wśród niezmaconej ciszy. Otaczała go cisza niezmacona, a spokój wielki, wraz ze świeżością nieśmiertelną, zdawał się panować na tych wysokościach niezmiernych, mrocznych, gdzieniegdzie pobłyskujących małymi gwiazdami.

Roman doświadczył znowu uczucia takiego, jakby odsłaniała się przed nim jakaś prawda życia daleka, wysoka, ale której wyrozumieć nie mógł. Czuł, że jest, że być musi, chwilami zdawało mu się, że już pochwytyje ją myślą, ale wnet umykała znowu i stawała się dla umysłu jego tak niewyraźną, jak bladym było wobec latarni gazowych światło globu niebieskiego.

I

Pociąg kolei żelaznej zatrzymał się przed stacją małą, samotnie stojącą wśród pól żółtych i przestronnych. Mężczyzna młody, wykwintnie ubrany, oko w oko spotkał się z chłopakiem wiejskim w szarej świtce, który, kłaniając się, zapytał:

– Czy to pan do Darnówki?

Wątpliwości być nie mogło; nikt więcej nie opuścił pociągu, który już ze świstem lokomotywy pędził dalej. Przybyły wskazał parobczakowi parę wyrzuconych na platformę skrzynek eleganckich, skórą obitych, a w dziesięć minut siedział już na wózku, zasłanym kraciatym kilimkiem, powożonym przez parobczaka w szarej świtce, zaprzężonym parą kasztanów niedużych i tłustych. Ekwipaż ten przypomniał mu coś dalekiego... Ach, tak! Bardzo podobnymi końmi i z woźnicą zupełnie takim samym, odjeżdżał do miasta, z ostatnich wakacyj, u stryja spędzonych. Dziesięć lat temu, tak, dziesięć... a tyle rzeczy, tyle rzeczy dzieli go z porą ową, że sam sobie wydaje się snem. Jednak był wówczas bardzo realnym, dziewiętnastoletnim młodzieńcem, który w przeddzień zaledwie zdjął mundur gimnazjalny, a z uciechą wielką przywdział akademicki. Uciecha ta przecież, w dniu odjazdu, bez śladu zniknęła mu z serca. Siadając na taki sam wózek, takimi samymi końmi zaprzężony, miał wąsik tak drobny, że zaledwie widzialny, ale w oczach łyż duże i z wielką trudnością powstrzymywane. Gdyby nie wstyd przed samym sobą, byłby płakał... Kto wie, może nawet trochę i zapłakał po tej wiosce opuszczanej, po złotej swobodzie złotego lata, nadewszystko po pewnych oczach dużych, szarych, których spojrzenie smutne spotkało się z jego wzrokiem wtedy, gdy wózek odjeżdżał z przed ganku.

No, ale doprawdy to są te same konie i ten sam woźnica!

– Słuchaj, kochanku, ile lat mają te konie?

Chłopak profilem zwrócił się ku pytającemu.

– Jednemu, panie, pięć skończyło się po Jerzym, a drugiemu sześć chyba będzie na Zielną.

Zielna! Co to takiego? Ta nazwa coś mu przypomina, coś bardzo plastycznego i zarazem niepochwytnego... jakby w blasku słonecznym rozlegały się dzwony i rozlewały się mocne zapachy. Zdaje się, że jest to nazwa dnia świątecznego... ale co to przy jej wspomnieniu dzwoni i pachnie?

Więc konie podobne do tamtych, ale nie te same; naturalnie. No, a woźnica?

– Czy dawno u stryja mego służycie?

– Ja? Ihi! tak jakby zawsze, bom i urodził się w Darnówce. Ale co furmanem, to dopiero dwa lata będzie na Gromniczną, jak zostałem.

Gromniczna! Aha! Śnieg skrzypi pod płozami sanek, noc od gwiazd wyiskrzona, ludzie gadają o wilkach...

Więc i woźnica nie ten, co wówczas, tylko bardzo podobny. Naturalnie.

Ale pola, to już z pewnością te same: równe, szerokie, zżęte, zasłane ścierniskiem żółtem, tu i owdzie zaróżowionem przez smugi zachodzącego słońca. W tem świetle bławatki i ostróżki nabierają barw i połysków drogich kamieni; dziwnie są podobne do szafirów i ametystów, rozrzuconych garściami po morzu złotem. Wózek toczy się drogą białą pomiędzy dwoma szlakami zielonemi, ciężko podskakuje po koleinach i kamieniach, zdaleka mijają grusze dzikie, rozproszone zrzadka po ściernisku, gdzie zielenieją też tu i owdzie pojedyncze, lub w małe gromadki skupione głogi, berberysy, leszczyny i róże dzikie. Berberysy i róże dzikie teraz właśnie są okryte czerwonymi jagodami, a po ciemnych leszczynach migocą jasno seledynowe centki orzechów dojrzewających.

Po paru kwadransach, droga skręca na łąkę wilgotną, z ługiem niedużym, w którym, jak w szkle czystym, odbijają się obłoki rumiane i srebrne. Brzegiem ługu kroczy bocian z długim dziobem, na wysokich nogach. A! jest tu ich więcej! Drugi, trzeci, piąty, dziesiąty... Stoją z dziobami w trawie, albo chodzą po wilgoci, wypluskującej im z pod nóg kroplami wody, o czemś głęboko dumając, zapewne o odlocie blizkim w strony dalekie... Zerwą się i odlecą!

– Tak, jak ja! Odleciałem i teraz dopiero powracam – na chwilę. Odlecę znowu i kto wie, czy kiedykolwiek już powrócę? W każdym razie chyba przelotem... Taką wodę nazywają tu ługiem, ale jakże się ten ług nazywa? Wiedział niegdyś. Na łące tej bywał, strzelał do jakichś ptaków. Jakże się nazywają te ptaki? Nie pamięta, ale wie, że wieczorami grywają tu dwie orkiestry: żab i ptaków jakichś, których nazwy nie pamięta...

Wyraz orkiestra przypomniał mu cyrk, który po całorocznej nieobecności wrócił do stolicy, na parę miesięcy przed jego odjazdem. W tym to cyrku znajdowała się wołyżerka Aurora, ta, która była na niego łaskawą, dopóki pewnego wieczoru nie odbił mu jej ten grubas-miljoner. Gdy wróciła, widywał ją znowu. Popadł był w usposobienie takie, że musiał szukać rozrywek, upojeń... Bywał w cyrku; Aurorę spotykał i poza cyrkiem. Nagle porzucił wszystko i odjechał. Może źle zrobił. Ta Aurora... na arenie ptak, motyl, zjawisko nadprzyrodzone, a za areną... No, niech ją tam! Szkarada!

Wiatr powiał od lasku, do którego zbliżał się wózek, i napełnił mu płuca świeżością, lejącą od brzoź i osin, od wiecznej rosy, w której, pomiędzy wilgotnymi kępami, stały rozszczepione na kilka pni olchy. Na olchach tu i owdzie, jak czapki ogromne, wisiały gniazda gawronie; w brzezynie rzadkiej, czystej, gładkiej jak sala balowa, tańczyły po trawie, po pniach białych, po liljowych brunelkach i bratkach promyki, esiki i kółka słoneczne.

Za brzezina, nieco zdala, pomiędzy polami i laskami, widać jedną wieś bliską, drugą dalszą i dużą gęstwinę zieleni, z której dobywają się ku górze strzały topoli włoskich. Po tych drzewach już poznać można, że jest to dwór, ale jadący wie nawet, jak on się nazywa.

– Darnówka? Co? – zwraca się do woźnicy.

– Tak jest, panie – odpowiada chłopak i zlekka zacina batem kasztanki, które biegną tak żwawo, że z pod kół wózka bić zaczynają kłęby kurzawy. W tej kurzawie, która kłębami wybija się zpod kół wózka, a na ziemię opada deszczem prawie złotym, jest coś bardzo znanego: jakiś zapach piasku i gliny, jakiś powiew suchy i gorący, coś niewyraźnego, ale co nagli do rozpoznania, przypomnienia, nie wiedzieć czego... Byłoby to prawdą, że nawet kurzawy, wznoszące się nad drogami, snują pajęczyny prawie niepochwytne, w których, jak muszki prawie niewidzialne, brzęczą wspomnienia?

W pobliżu dworu ze strzelistemi topolami, na tle już rumieniącej się na zachodzie zorzy wieczornej, posuwa się powoli czarny profil konia, pług i idącego za pługiem człowieka. Śród rozległej przestrzeni jedyny to w tej chwili objaw życia ludzkiego; odpowiadają mu z oddalenia ryki bydła, piania kogucie, stuki siekiery i pieśni chłopskie, tu i owdzie omdlewające, u wiosek, nad którymi kręte dymy kreślą na błękitcie wstęgi blade-złote. Zresztą cicho; tylko jeszcze drobne ptaki szczebiocą w gruszach na miedzy i w wierzbach przy drodze.

Ciszę przerwało głośnie wołanie z pola.

– Stój, Marcinek! hej, stój! Jak się masz Romku! Zaczekaj, kotku, nie włącz na ściernisko, bo nie dla ciebie kobierce takie! Jam przywykł, dobiegnę, co tu robić? No, bywaj powitan, bywaj pozdrowion, co tu robić, mój drogi, dawno niewidziany chłopcze!

Pług przewrócony i para koni nieruchomych pozostały na zagonie; stary oracz, wysoki i barczysty, siwy i łysy, w ramionach, okrytych rękawami białej jak śnieg koszuli, dość długo trzymał młodzieńca wysmukłego, w paltocie zgrabnym i w błyszczącym jak szkło obuwiu. Potem wypuścił go z objęcia i do parobczaka, siedzącego na koźle, zawołał:

– Jedź do domu, Marcinek, i powiedz tam Jaśkowi, aby skoczył tu żywo i pług z pola do domu sprowadził. Ja pójdę z gościem...

Roman z ukrywanym zdziwieniem powiódł wzrokiem ku pługowi; stary to spostrzegł.

– Dziwisz się, że znalazłeś mię przy oraniu, dawniej tego nie było, a? To prawda, bo widzisz, kotku, dawniej, co tu robić, byłem z innego ciasta, z takiego delikatnego, rodzynkami natykanego...

– Zapewne środek higieniczny – wtrącił Roman.

Stary zaśmiał się.

– A tak, kotku, higieniczny... Masz słuszność... pewno że higieniczny, co tu robić... Ale co tam o tem! Więc przyjechałeś do nas! co tu robić! przyjechałeś jednak...

Szli ku dworowi aleją nie szeroką, z dwu stron drzewami osadzoną, i wzajemnie przypatrywali się sobie, starając się tego nie okazać. Romuald Darnowski niewiele zmienił się przez lat dziesięć: ten, sam co dawniej, wzrost duży i ramiona szerokie, to samo czoło wielkie i przez łysinę uczynione jeszcze większem, ta sama ognistość ciemnych oczu pod brwiami szpakowatemi, ten sam wyraz jowialny, chwilami trochę przebiegły na twarzy dużej, długiej, ogorzałej i czerstwej, chociaż bardzo już pomarszczonej. W grubych, wysokich, okurzonych butach, w surducie z siermiężnego sukna, który Marcinek podniósł z brzegu pola i włożył mu dopomógł, wyglądał na zdrowego, silnego rolnika, na wesołego i roztrzonego prostaka. Od lat dziesięciu zmienił się niewiele; jednak Romana uderzało w nim coś, czego dawniej albo nie było, albo on tylko nie spostrzegął, a co go teraz dziwiło i trochę niepokoiło. Ta praca własnoręczna, ta odzież gruba, ta skóra na twarzy i rękach zgrubiła i ogorzała? byłżeby zrujnowanym, pomimo posiadania Darnówki zmuszonym do zejścia na poziom życia tak niski? Jednak zgnębienia nie było w nim ani śladu. Raźnie i wesoło rozmawiał z synowcem.

– Przyjechałeś więc, kotku! Wiesz co? list twój otrzymałem, konie po ciebie na stację posłałem i jeszcze nie wierzył, co tu robić, że przyjedziesz? jeszcze myślał, co tu robić: ej! w ostatniej chwili zatrzyma go coś pewnie...

Roman, z niejakim zmieszaniem mówić zaczął:

– Winien jestem przed tobą, mój stryju, bardzo winien, czuję to sam i nie dziwię się, jeżeliś zwątpił o przywiązaniu mojem, które jednak...

– Dlaczego? – zawołał Darnowski – dlaczegoż winien, kotku? Czy dlatego, że odzywałeś się do nas rzadko, a od lat sześciu, co tu robić, nie odzywałeś się już zupełnie? Ej, kotku, wiem ja dobrze, co było tego przyczyną! Świat, stosunki, roztargnienia, zabawy, zajęcia, karjera... *force majeure*, kotku... czy ja dobrze jeszcze pamiętam znaczenie tego wyrazu? *Force majeure*... siła główna, nakazująca, najważniejsza... prawda? co tu robić? Co się zaś tyczy przywiązania, to ono, kotku, może i było, może tam gdzieś i tlało na spodzie, co tu robić, przez *force majeure* przygniecione... widać, że było, skoro jednak, co tu robić, przyjechałeś... Ale wiesz ci, kotku, bardzo wiesz... Posadę otrzymałeś świetną! pi, pi! wysoko stanąłeś, a co tu robić, staniesz wyżej jeszcze! Ślicznie, ślicznie! Ale bo już i sama gałąź nauki, którą sobie obrałeś, chroniła cię przed tem, abyś został grzybem... tej nauce się oddając, najtrudniej zostać grzybem...

– Jakto: grzybem? – uśmiechając się zapytał Roman.

– Ot, takim, jakimi naprzykład my jesteśmy... takim sobie, co tu robić, lichym grzybem, siedzącym wiecznie na tem miejscu, na którym Bóg go posiał... Ty, co tu robić, lecisz sobie jak liść od drzewa oderwany, wolny, lekki... to daleko przyjemniej i ładniej...

Stanął, wpatrzył się w jakiś punkt trochę oddalony i zawołał:

– Iruś, Iruś! a chodź-no tu, kotku, gościa naszego powitaj... widzisz! przyjechał!

Do Romana się zwrócił:

– Bo to, widzisz, kotku, oni także... Stefan, Irenka, wąpili, abyś naprawdę przyjechał. Po coby miał przyjeżdżać? mówią, interesu przecież nie ma tu żadnego, a i tak, co tu robić, czeka go podróż ogromna... Iruś! a cóż bo tam pomiędzy tem zielskiem tak marudzisz! Chodźże prędzej przywitać się z krewnym!

Przed ogrodzeniem i bramą dziedzińca, w obszernym ogrodzie warzywnym, rozdzielonym od drogi niskim płotkiem, Roman zobaczył kobietę, której, idąc obok stryja, przedtem nie dostrzegł. Z pomiędzy kilku rosnących gromadą słoneczników weszła na ścieżkę, wydeptaną pomiędzy rzędami warzyw zielonych, amarantowych, brunatnych, i nagłona wołaniem starego szła coraz prędzej ku bramce w niskim płotku; wysmukła i prosta, ale z głową pochyloną, w sukni jasnej i z koszem w ręku tak napełnionym, że liście zielone, amarantowe, brunatne, zdawały się wylewać zeń przez brzegi.

Doprawdy? to ona! ona! ta sama Irenka, to samo dziewczę, niegdyś takie miłe i – kochane! Urosła... tak, wyższą jest, niż była wówczas i kosy na plecach już niema. Czarna, jak heban i lśniaca, jak jedwab, zwinięta jest teraz z tyłu jej głowy pochylonej, którą, stanawszy przed dwoma oczekującymi na nią wśród drogi mężczyznami, zwolna podnosi. W jednym ręku trzymając kosz,

wylewający przez brzegi liście lśniące i pachnące, drugą podała gościowi, i rumieniec oblał jej twarz od brzegu czarnych włosów do opasującego szyję kołnierzyka sukni perkalowej, w błękitne i białe kratki. Przez jedno mgnienie oka Roman widział jej szare źrenice tkwiące w jego twarzy i miał w dłoni rękę, którą wnet cofnęła, poczem znowu ku ogrodowi odeszła.

Stary Darnowski śmiał się.

– Języka w gębie zapomniała dziewczyna, jak Boga Kocham, co tu robić, kawalera światowego i dygnitarza takiego zobaczywszy, języka w gębie zapomniała... jak trusia dygnęła i uciekła... A! cóż to dziwnego? My tu nie codzień, co tu robić, nie codzień, takich, jak ty, ludzi widzujemy...

– Żartujesz, stryju – odrzekł Roman i po chwili z niejakim wahaniem dodał:

– Mówiła mi baronowa Lamoni, że Irenka jest zawsze w Darnówce... dziwiłem się...

– Czemuś się dziwił, kotku?

– Że... że dotąd zamąż nie poszła!

Stary wybuchnął swoim rażnym i dobrodusznym śmiechem.

– Zamąż? a za kogóż, kotku, wyjśćby miała? Za koguta chyba? cha, cha, cha! co tu robić?

Chyba za koguta! Bo tu nikt nie żeni się i nie wychodzi zamąż!

– Dlaczego, stryju?

Zdziwiło go to pytanie bardzo.

– Nie wiesz? Co tu robić! A no, to się dowiesz, gdy trochę tu pobędziesz!

Spoważniał, śmiać się przestał.

– Ale to nic nie szkodzi, kotku! Jeżeli rodziny nie zawiązują się w jednym miejscu świata, za to w innym mnóstwo ich zawiązywać się musi; ludzkości przez to nie ubędzie i dla ogólnej jej ekonomiki to, co tu robić, wszystko jedno.

Teraz Romanowi śmiać się chciało. Rozumowanie było istotnie dość szczegółowym!

– Ależ, kochany stryju, rozumowanie to wcale pocieszać nie może, że takie wdzięki i zalety jak kuzynki Ireny...

– Jakie tam wdzięki! bardzoś łaskaw! – przerwał Darnowski. Bardzoś łaskaw, bo pewnie tam na świecie szerokim spotykałeś mnóstwo piękności, do których nasza Irusia, co tu robić, ani się umywała! Co zaś do zalet, to są, kotku, zalety, z przeproszeniem twojem, głupie! Bo gdyby to miało posag, ale gdy się jest bez posagu, to, co tu robić, trzeba być i bez przesądów, a także mieć wolę i inicjatywę. Ona zaś jest przesadną, a woli i inicjatywy za grosz niema. Przecież mogłaby wyprawić się w świat po los i męża! Guwernantki trzymałem do niej, na pensji była, tak samo wychowana, jak wszystkie, niczego jej nie brak i okazję miała... co tu robić... okazję śliczną... baronowej podobała się bardzo, chciała ją z sobą wziąć, pensję dużą dawała, na wielki świat wprowadzić obiecywała...

– Wiem o tem – wtrącił Roman.

– Aha! wiesz? mówiła ci o tem Lamoniowa? A no, widzisz, kotku, widzisz sam, czy nie dziwactwo? czy nie brak zupełny woli i inicjatywy? Nie chciała, co tu robić, nie chciała! Choć ty jej kołki na głowie strugaj... Kobieta jak milion, cała ze złota, mówi do niej: „w świat cię wprowadzę, stroić będę, zamąż wydam!” A ona jak czeczotka: cha, cha, cha! chi, chi, chi! śmieje się i powtarza swoje: nie, nie, nie! nie, nie, nie! No powiedz sam, kotku, jak to świadczy o niej? czego to dowodzi?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.